MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XV. Nr. 39. WARSZAWA, 22 WRZEŚNIA 1935 R. CENA NUMERU 80 GR.

STATYSTYKA WYBORÓW SEJMOWYCH

W WYBORACH powszechnych nie można żądać od mas wyborczych, aby dokładnie orjentowały się w szeregu skomplikowanych zagadnień politycznych, społecznych i gospodarczych. Masy nie są zdolne do dawania konkretnych wskazówek, jak owe zagadnienia rozstrzygać. Ale nawet najbezwzględniejsi przeciwnicy fikcyj demokratycznych muszą przyznać wyborom znaczenie podstawowe: ludność wyraża w głosowaniu zaufanie swoje tym, którzy mają zasiadać w izbach przedstawicielskich.

Obecne wybory w Polsce miały ponadto szczególne dwie cechy. Po pierwsze, jak stale podkreślała po uchwaleniu ordynacji wyborczej do Sejmu prasa sanacyjna, wybory miały być plebiscytem ludności, który powinien wyrazić aprobatę dla uchwalonej Konstytucji i systemu rządów pomajowych. Powtóre, wyborca mógł głosować jedynie na kandydatów, ustalonych przez zgromadzenia wyborcze, których konstrukcja oddawała administracji decyzję, kto ma reprezentować w Sejmie społeczeństwo. W praktyce równało się to monopolowi B. B., współpracującego z rządem. Dlatego wybory posiadały wyjątkowe znaczenie pod tym względem, iż rozstrzygały pytanie o stosunku ludności do panującego *régime*'u oraz do Konstytucji i systemu wyborczego.

Obserwacja przebiegu głosowania w kraju dała bardzo dużo pouczającego materjału i musiała wpłynąć na poczucie tych, którzy przeprowadzali wybory. Wobec żywionego w tych sferach przekonania o bierności i apatji społeczeństwa, pustki w lokalach wyborczych wywołały konsternację i usilne zabiegi w godzinach popołudniowych o zwiększenie różnemi sposobami ilości oddanych głosów.

Nie mamy dotychczas urzędowych wyników głosowania. Trzeba zadowolić się liczbami, podawanemi przez prasę rządową. Nie wszystkie te liczby w poszczególnych organach prasowych są zgodne. Bierzemy dane maksymalne. Na 16.282.000 uprawnionych do głosowania uczestniczyło w wyborach jakoby 7.576.000 czyli 47% uprawnionych. Ale rzecz znamienna, że ilość głosów ważnych wynosiła około 5.735.000 czyli przeszło 20% oddanych głosów było nieważnych. Liczbę głosów ważnych otrzymujemy, dzieląc przez dwa ilość wszystkich głosów, które otrzymali wystawieni kandydaci, ponieważ wyborca miał prawo oddać dwa głosy. Jeżeli wyborca oddał kartkę bez zaznaczenia, na kogo głosuje, według przepisów ordynacji jego głosy zaliczano na rachunek dwu pierwszych kandydatów, umieszczonych na liście. Zachodziły wypadki, stosunkowo nieliczne, gdy wyborca stawiał kreskę tylko przy jednym kandydacie. Wówczas jakby częściowo bojkotował wybory, skoro wśród kilku kandydatów nie znalazł drugiego, którego mógłby obdarzyć zaufaniem. Ponieważ ogółem kandydaci otrzymali 11.468.000 głosów, czyli połowa wynosi 5.734.000, różnica między liczbą oddanych głosów, a tą połową wynosi 24,2%.

Ten ogromny odsetek głosów nieważnych, szczególnie wielki na ziemiach rdzennie polskich (np. w województwie Poznańskiem 99 tysięcy, na Śląsku 200 tysięcy), był świadomym protestem osób, materjalnie od rządu zależnych, które nie mogły uchylić się od głosowania, wstrzymanie się bowiem od głosowania uchodziło za akt antyrządowy. Liczbę osób zależnych — urzędników państwowych, samorządowych, pracowników przedsiębiorstw państwowych i od państwa zależnych, osób pobierających renty i zapomogi dla bezrobotnych, zatrudnionych na robotach publicznych, wraz z żonami można śmiało obliczyć na 1.700.000.

Podajemy poniżej zestawienie wyników głosowania na podstawie prasy rządowej. Rubryka pierwsza podaje ilość uprawnionych do głosowania, druga oddanych głosów ważnych (liczba głosów, które padły na kandydatów, podzielona przez dwa), trzecia odsetek głosów ważnych w stosunku do uprawnionych, czwarta odsetek osób, których językiem ojczystym nie jest język polski:

	Województwo	uprawnionych w tysiącach	głosów ważnych w tysiącach	%	% nie-Polaków
1.	Warszawa m.	731	168	23,0	29,1
2.	Warszawskie	1.239	356	28,9	11,6
3.	Łódzkie	1.369	401	29,3	19,9
4.	Kieleckie	1.424	408	28,7	10,7
5.	Lubelskie	1.200	360	30,1	16,0
6.	Białostockie	847	377	44,4	28,0
7.	Wileńskie	652	226	34,6	40,1
8.	Nowogródzkie	523	291	55,6	47,4
9.	Poleskie	529	324	61,0	85,5
10.	Wołyńskie	970	575	59,3	83,5
11.	Tarnopolskie	839	487	58,2	60,0
12.	Stanisławowskie	795	309	38,8	80,0
13.	Lwowskie	1.614	582	36,1	46,0
14.	Krakowskie	1.083	383	35,2	10,0
15.	Śląskie	750	375	50,0	7,7
16.	Poznańskie	1.157	241	20,9	9,5
17.	Pomorskie	556	160	28,9	10,1
		16.282	5.735	35,2	30,9

Plebiscyt przeto wypadł fatalnie. Głosów ważnych było 35,2% ogółu uprawnionych. Z tej liczby zapewne połowa głosów przypadła na głosy nie-polskie. Bowiem Rusini, Niemcy i żydzi ustosunkowali się pozytywnie do wyborów i głosowali tłumnie. Tylko w woj. Stanisławowskiem, gdzie są silne wpływy ukraińskich socjalistów, odsetek głosujących Rusinów był nie wysoki. Natomiast na Śląsku, aczkolwiek spis ludności z r. 1931 wykazał tylko 7,7% osób, których językiem ojczystym jest niemiecki, wobec braku uświadomienia politycznego odsetek osób, ulegających dyrektywom niemieckim, jest daleko wyższy; w roku 1928 na listę niemiecką padło 30,9% ogółu głosów, w r. 1930 — 20,7%.

Ciekawe jest zestawienie stosunku głosów ważnych, oddanych w r. 1928, kiedy głosowanie odbyło się normalnie, do ogółu uprawnionych z taką frekwencją głosujących w r. 1935.

		1928	1935
1.	Warszawa m.	69,6	23,0
2.	Warszawskie	81,7	28,9
3.	Łódzkie	85,0	29,3
4.	Kieleckie	82,5	28,7
5.	Lubelskie	79,7	30,1
6.	Białostockie	70,8	44,4
7.	Wileńskie	59,8	34,6
8.	Nowogródzkie	52,0	55,6
9.	Poleskie	60,0	61,0
10.	Wołyńskie	58,1	59,3
11.	Tarnopolskie	77,7	58,2
12.	Stanisławowskie	75,9	38,8
13.	Lwowskie	74,2	36,1
14.	Krakowskie	79,4	35,2
15.	Śląskie	90,1	50,0
16.	Poznańskie	81,7	20,9
17.	Pomorskie	87,8	28,9

Gdy w województwach zachodnich, centralnych i południowych frekwencja wyborcza zmalała w sposób niesłychany, na Polesiu, Wołyniu i w woj. Nowogródzkiem właśnie według danych prasy sanacyjnej się podniosła.

Największy odsetek głosujących był w okręgu Kobryńskim (76,5%). Jest to okrąg przodujący pod względem analfabetyzmu w całej Polsce, analfabeci zaś nie mogli przeczytać nazwisk na wręczonej im karcie wyborczej. Należą do tego okręgu powiaty, które mają, (wśród ludności gmin wiejskich powyżej 10 lat), następujący % analfabetów (procent wśród ludności powyżej 24 lat jest jeszcze wyższy):

	Powiat	% analfabetów
1.	Koszyrski	68,0
2.	Kossów	55,5
3.	Drohiczyn	52,5
4.	Kobryń	46,7

W Polsce rdzennej najwięcej wyborców głosowało w małych miastach, silnie zażydzonych, z liczną warstwą urzędników i osób zależnych. W gminach wiejskich w szeregu powiatów procent głosujących nie przekraczał 10%, a były obwody, w których oddali głos jedynie członkowie komisji wyborczej i administracji gminnej.

W.

Z CYKLU: POLSKA NA MORZU

W DOBIE OBECNEJ

(Ciąg dalszy)

WOBEC TEGO, co poprzednio wyłożyłem, zniknęła w Polsce porozbiorowej wszelka ekspansja nietylko zamorska, lecz nawet zagraniczna, co odbiło się odrazu na kwitnących przed rozbiorami portach bałtyckich, jak Gdańsk, Królewiec i Kłajpeda.

Spadły one szybko na czwartorzędne miejsce na Bałtyku, wobec odcięcia od nich naturalnego zaplecza, jakiem były wewnętrzne ziemie Polski, które dostały się pod panowanie rosyjskie. Polski organizm ekonomiczny zniknął i każdy z trzech zaborów wsiąknął w skład odpowiedniego organizmu ekonomicznego, bądź austrjackiego, bądź pruskiego, bądź rosyjskiego. Ponieważ zaś każdy zabór, stanowiąc część składową danego państwa rozbiorczego, był przeznaczony na zaspokajanie wewnętrznych potrzeb ekonomicznych tego państwa, przeto nastąpiło odrazu zupełne cofnięcie się Polski od międzynarodowego gościńca gospodarczego, jakim było i jest morze. W parze z tem przekształcał się szybko rysunek sieci komunikacyjnej, dostosowującej się obecnie do nowych zadań, stawianych zaborom. Prowincje polskie otrzymały arterje komunikacyjne, łączące je przedewszystkiem z głównemi ośrodkami ekonomicznemi Austrji (Wiedeń), Prus (Berlin i Niemcy środkowe) oraz Rosji (Petersburg, Moskwa i Zagłębie Donieckie). Arterje te łączyły się, coprawda, z sobą w postaci przedłużenia linij kolejowych, lecz polskie linje stanowiły jedynie odcinki na wielkich szlakach, ciągnących się z Europy Zachodniej do Wschodniej, i, wobec tego, ziemie dawnej Rzeczypospolitej stawały się coraz bardziej traktem tranzytowym, wiodącym z Zachodu na Wschód i odwrotnie. Co się zaś tyczy dróg wodnych, mianowicie najgłówniejszej arterji, jaką była Wisła, to uległy one zupełnemu zaniedbaniu. W zaborze pruskim przystosowano je do niemieckiej żeglugi śródlądowej, łącząc z dorzeczem Odry, w Austrji nie zwracano na nie uwagi, regulując Wisłę jedynie z punktu widzenia zabezpieczenia kraju przed powodzią, a w Rosji panował stosunek wręcz wrogi, albowiem regulacja Wisły i Niemna dawała możność skierowania ruchu handlowego z zaboru rosyjskiego na porty pruskie, co sprzeciwiało się wymogom ekonomicznym imperjum Romanowów.

Wpływy zatem ekonomiczne, panujące na ziemiach Polski porozbiorowej, niszczyły bardzo szybko wszelkie wspomnienia o dawnej polskiej samodzielności gospodarczej i coraz silniej wtłaczały każdy z trzech zaborów do poszczególnych państw rozbiorczych. Akcja ta zaczęła iść wprost z zawrotną szybkością od drugiej połowy XIX wieku, kiedy Europa, a właściwie jej wielkie potęgi państwowe, oparte zasadniczo na przemyśle, jak Anglja i Niemcy, opanowywały gospodarczo kulę ziemską. Biorąc pod uwagę, że przemysł europejski, związany najściślej z handlem międzynarodowym, nadawał ton całemu życiu ekonomicznemu w drugiej połowie ubiegłego stulecia, i że na ziemiach polskich ten przemysł rozwijał się tylko w zaborze rosyjskim, nastąpiło również przesuwanie się środka ciężkości naszych dążeń ekonomicznych coraz bardziej na Wschód. Tem samem zniknęły prawie doszczętnie wszelkie nici, łączące Polskę z Bałtykiem drogami na Wisłę i Niemen.

Jak wynika z powyższego, zarówno polska myśl polityczna, jak polska myśl ekonomiczna w okresie porozbiorowym cofnęły się niemal zupełnie od morza. Jako przykład można wskazać na nasz dorobek historyczny i ekonomiczny w tym okresie. Mianowicie, przez cały wiek XIX zjawiły się o sprawach morskich tylko dwie prace, *notabene* obie drukowane w Warszawie. Są to: „Wiadomość historyczna o ziemi pomorskiej, mieście Gdańsku oraz żegludze i panowaniu Polaków na morzu Bałtyckiem" Tomasza Święckiego, wydana w 1811 r., oraz „O marynarce polskiej" Łukasza Gołębiowskiego, która ukazała się w 1842 r.

Polska myśl polityczna, że odzyskanie niepodległości da się osiągnąć jedynie w drodze walki z Rosją i rezygnująca, wobec tego, z zaboru pruskiego oraz austrjackiego, spotkała się w końcu XIX stulecia z antytezą w postaci t. zw. ruchu wszechpolskiego. Ruch ten, zapoczątkowany przez Jana Popławskiego, a rozwinięty przez Zygmunta Balickiego i Romana Dmowskiego, głosił przedewszystkiem zjednoczenie wszystkich trzech zaborów i widział głównego wroga Polski w Niemcach. Wypływała z tych przesłanek konsekwentnie dążność do odzyskania zaboru pruskiego i oparcia się z powrotem o Bałtyk. Wszechpolacy szli z duchem czasu i trafnie odgadli, że, wobec pędu do tworzenia państw narodowych, przyszła niepodległa Polska winna się opierać na rdzennie polskiem terytorjum, t. j. na zaborze austrjackim, pruskim i t. zw. Królestwie, a co się tyczyło ziem, wchodzących dawniej w skład Wielkiego Księstwa Litewskiego, to miały one wartość dla przyszłej wskrzeszonej Rzeczypospolitej o tyle, o ile przeważała na nich polska ludność napływowa, jak w Wileńszczyźnie, Grodzieńszczyźnie i na Wołyniu. Ten ruch wszechpolski, upatrujący głównego wroga w Niemcach, wywoływał konieczność znalezienia *modus vivendi* z Rosją. Pomagała temu z jednej strony niezmierzona przestrzeń imperjum Romanowów, która nie stawiała na porządku dziennym zagadnienia terytorjalnego (tak niezbędnego dla mnożącej się szybko ludności cesarstwa Hohenzollernów, której było już zaciasno na swem terytorjum), a z drugiej przeszkadzał w wysokim stopniu nastrój petersburskich kół rządowych, będących w sprawach polskich stale pod wpływem Berlina. Ruch wszechpolski, tępiony zajadle przez Niemców, którym on zagrażał najbardziej, oraz przez idące na pasku berlińskim Austrję i Rosję, wzmagał się mimo to na sile i zaczął święcić pierwsze triumfy na początku XX stulecia. Za tym kierunkiem politycznym opowiedziała się podczas Wielkiej Wojny Światowej (1914—1918 r.) bezwzględna większość narodu i to zaważyło na wskrzeszeniu Rzeczypospolitej, składającej się z całkowitych prawie zaborów: austrjackiego (powiększonego o Śląsk Cieszyński) i pru-

skiego (z dodaniem części Górnego Śląska, a utratą Warmji i zniemczonych skrawków Poznańskiego) oraz rdzennie polskich obszarów zaboru rosyjskiego, jak Królestwo, i tych terytorjów z tego zaboru, gdzie ludność polska, napływając od czasów Jagiellonów, uzyskała przewagę liczbową, kulturalną i ekonomiczną. Traktaty Wersalski (1919 r.) i Ryski (1921 r.) ugruntowały wskrzeszone państwo polskie, opierające się na południu o wał Karpacki, dochodzące na północy do Bałtyku, mające łukowatą granicę lądową na zachodzie i odgraniczone borami oraz moczarami pińskiemi i wołyńskiemi na wschodzie. Ogólny obszar niepodległej Polski wyniósł 388.390 klm. kw. Granice ciągnęły się na przestrzeni 5.534 klm., w tem lądowe zajmowały 87,5% (5.394 klm.), a morskie — 2,5% (140 klm.). Ludność w 1931 r. doszła do liczby 32.132.936 mieszkańców z 69,1% żywiołu polskiego.

Kierunek wszechpolski, choć pociągający za sobą olbrzymią większość narodu, był przyjęty przez szerokie masy dość powierzchownie. Naogół zdawano sobie sprawę, że Niemiec, gnębiąc pod względem narodowym, chce jeszcze wysadzić z ziemi i pozbawić warsztatu pracy w mieście, i że Rosjanin, ciemiężąc w barbarzyński sposób w dziedzinie religijnej i narodowej, prawie nie zwraca uwagi na zagadnienia ekonomiczne na miejscu, a przeciwnie daje możność łatwego i pewnego zarobku u siebie. Oswobodzenie rodaków z Poznańskiego wydawało się kwestją palącej potrzeby, natomiast przeświadczenie, że bez odzyskania zaboru pruskiego, dającego przystęp do Bałtyku, przyszła wskrzeszona Rzeczpospolita nie utrzyma się samodzielnie pod względem ekonomicznym i że wślad za zależnością ekonomiczną[1]) idzie zależność polityczna, nie było prawie wcale poruszane przez polityków, ekonomistów i historyków. Między politykami mówił o tem wyraźnie jedynie Dmowski w swem dziele „Niemcy Rosja, i kwestja polska", które ukazało się w 1908 r., a wśród historyków podkreślał wagę żywiołu morskiego w dziejach dawnej Rzeczypospolitej tylko Adam Szelągowski w swej trylogji historycznej: „Walka o Bałtyk", „Śląsk i Polska wobec powstania czeskiego" i „O ujście Wisły", która ukazała się w 1904/5 r. Słynne dzieło Mahan'a „*The influence of sea-power upon history*", przetłumaczone na wszystkie języki świata cywilizowanego, było w Polsce zupełnie nieznane. Nikt się też nie interesował bogatą literaturą zachodnio-europejską, poświęconą zagadnieniom morskim. 13-ty punkt warunków prezydenta Wilsona, wystawionych przezeń, jako *conditio sine qua non* ukończenia Wielkiej Wojny Światowej, a głoszący, że należy wskrzesić Państwo Polskie z dostępem do morza, spotkał się, rzecz prosta, z ogólnym entuzjazmem na ziemiach polskich, ale każdy się cieszył, że Stany Zjednoczone twierdzą o konieczności odbudowania Polski, natomiast mało kto wiedział dokładnie, dlaczego Stany, mówiąc o odbudowaniu tej Polski, piszą o daniu jej dostępu do Bałtyku. To, co było powszechnie jasne i zrozumiałe dla przeciętnego obywatela z Europy Zachodniej czy Ameryki, mianowicie że państwo dla niezależności ekonomicznej, i politycznej, musi mieć dostęp do międzynarodowego gościńca, jakim jest morze, było w Polsce zupełnie niezrozumiałe.

Pierwsze próby szerzenia idei morskiej w społeczeństwie polskiem odrodzonej Rzeczypospolitej nastąpiły właściwie pod względem personalnym. Mianowicie, przybyła do Warszawy po zakończeniu Wielkiej Wojny Światowej pewna ilość oficerów-Polaków, służących poprzednio w marynarkach wojennych państw zaborczych, którzy zgłosili się do władz wojskowych. Ponieważ jednocześnie było już wiadome, że Polska uzyska dostęp do Bałtyku, przeto ludzie ci byli potrzebni do objęcia administracji wojskowej na przyznanym Rzeczypospolitej odcinku morskim. Niezwłocznie po rozbrojeniu Niemców w Warszawie, została powołana do życia w listopadzie 1918 r. sekcja marynarki wojennej w łonie ministerjum spraw wojskowych, która zajęła się przygotowaniami do objęcia administracji nad Bałtykiem.

(Dok. nast.) WITOLD HUBERT

[1]) Rozkwit ekonomiczny Rzeczypospolitej za Stanisława Augusta w okresie między 1-szym rozbiorem a Sejmem Czteroletnim nastąpił pod wpływem traktatu handlowego z Rosją, która opanowała całkowicie Polskę pod względem politycznym.

SZTUKA JEMIOŁY

PRZED paru miesiącami ukazała się książka o sztuce żydowskiej na ziemiach polskich, napisana przez M. Goldsteina i K. Dresdnera[1]). Zagadnienie to dosyć specjalne i interesujące dla nas o tyle tylko, o ile praca „o liściach jemioły na dębie" byłaby interesująca dla samego dębu. Nie należę do żydoznawców, ludzi bardzo szanownych, ale czasem aż nazbyt już może... talmudycznych, i nie będę zajmował czytelników uwagami o charakterze przyczynkarsko-szperackim, z książki tej czujnie wywęszonemi. Znając jej treść, nie mającą żadnej naukowej wartości, cierpiącą na kompletny brak syntezy, gadatliwą, rzewnie sentymentalną, albo też gwałtownie, hałaśliwie entuzjastyczną, tam gdzie potrzeba zimnego sądu i trzeźwego krytycyzmu — nie polecałbym tej książki nikomu do czytania. Tembardziej, że niema czem się rozrzewniać ani entuzjazmować. Przykłady sztuki żydowskiej, pokazane w bardzo licznych ilustracjach, najzupełniej nie dają do tego powodu. Ale właśnie one stanowią jedyną wartość tej książki. Mają znaczenie dokumentu, którym się sztuka żydowska legitymuje. Legitymacja to wiarogodna, bo przez samych żydów wystawiona, i kto się na niej będzie opierał, nie będzie mógł być posądzony o sfałszowanie dokumentów. Dlatego też ten pewny i dla żydów niezaprzeczalny dowód prawdy warto skonfrontować z nurtującą wokoło, coraz to podsycaną i rozszerzaną legendą o rzekomej genjalności artystycznej żydowskiej rasy.

A więc — *incipiam.*

Uczony francuski Édouard Monod-Herzen mó-

[1]) M. Goldstein i K. Dresdner: „Kultura i sztuka ludu żydowskiego na ziemiach polskich", Lwów, 1935.

wi w jednej ze swych prac [2]), że można wykryć związek między sztuką pewnego narodu a jego sposobem pisania: od lewej ku prawej lub odwrotnie, czy też zgóry ku dołowi, a to dzięki związkowi, jaki zachodzi między wizją artystyczną a naszemi nastawieniami motorycznemi, takiemi np. jak nie-mańkuctwo, czyli uprzywilejowanie rękł prawej.

Otóż ilustracje, zebrane w omawianej książce, to zdanie francuskiego uczonego zdają się w całej rozciągłości potwierdzać. Istotnie, człowiek należący do narodu piszącego sposobem europejskim, to jest od lewej ku prawej, nie doznaje wobec przykładów sztuki żydowskiej poczucia zgodności ze swą przyrodzoną postawą psychiczną. Przeciwnie, doznaje on raczej poczucia sprzeczności, dysharmonji. W żadnym zaś razie nie doświadcza jakiegokolwiek duchowego wzmożenia, któreby wskazywało, że oto oglądany przedmiot stanowi bodziec, potęgujący jego psychiczną aktywność.

Przyczyn tego zjawiska szukać należy oczywiście daleko głębiej, niż tylko we wspomnianych nastawieniach motorycznych, związanych ze sposobem pisania. Mamy tu do czynienia z pewną przeciwnością psychiki widza i autora, której psycho-fizjologiczna obserwacja Monod-Herzena z natury rzeczy w całości nie tłumaczy. Silna reakcja na dzieła sztuki żydowskiej, w postaci poczucia dysharmonji, wskazuje na to, że i w ich duchowej orjentacji coś się bodaj dzieje naodwrót, od prawej ku lewej. Ta sprawa wymaga jednak szerszego omówienia.

Pierwszym i nieodzownym warunkiem dzieła sztuki jest jedność, *integritas,* jak to nazywał św. Tomasz. Tę samą prawdę wymienia także Witkiewicz, formułując określenie „jedność w wielości". Możnaby tę prawdę rozwinąć w ten sposób, że dzieło sztuki wychwytuje ze świata widzianego tajemnicę jego jedności, mimo jego rozliczności i pozornej anarchji. Słuszne sformułowanie „jedność w wielości" skłonny byłbym nawet uzupełnić drugiem jeszcze — „ład w przypadkowości". W tym sensie dzieło sztuki, przedstawiając jedność i ład świata w elementach jego rozlicznej zmienności, elementach przypadkowych, akcydentalnych — ma naturę paradoksu. Jako paradoks właśnie, dzieło sztuki zawierać może coś ze świata psychicznego, inaczej bowiem byłoby prostym przedmiotem ze świata materjalnych konkretów. Jako paradoks właśnie zdolne jest działać na człowieka, którego konstrukcyjną tajemnicą jest paradoks jedności z duszy i z ciała.

Ta filozoficzna paradoksalność dzieła sztuki znajduje swój wyraz w jego stronie formalnej. Kompozycja dzieła sztuki jest tembardziej zwarta i bogata, im bardziej oddala się od prostego, schematycznego uporządkowania natury geometrycznej, im wyraźniej jest wynikiem ścierania się psychicznej jedności autora z przypadkowością i mnogością świata widzianego.

Weźmy przykład: słynna „Dziewczyna z gronostajem" Leonarda Da Vinci, znajdująca się w Muzeum Czartoryskich w Krakowie, należy bodaj do dzieł, w których zasada jedności zrealizowana została niemal idealnie. Jakim sposobem? Oto właśnie przez zatarcie plamami obrazu tych wszystkich punktów i linij, które narzucałyby się wzrokowi jako osie uporządkowania geometrycznego, a więc: środka, osi pionowej i poziomej i t.d. Nie jest to jednak całkowite ich pogwałcenie. Kompozycja obrazu pełna jest napomknięć, niedomówień na ich temat. Porządek geometryczny nie jest z obrazu wygnany, przeciwnie, tkwi on w nim, ale w jakimś zapaśniczym chwycie z zasadą jedności organicznej, na której oparta jest jedność psychiczna autora. Rozczłonkowanie geometryczne jest zawsze tylko r o z c z ł o n k o w a n i e m, czyli analizą, jedność organiczna — stanem przedmiotowym przyrody i podmiotowym artysty i dopiero ze starcia się ich powstaje bodaj synteza artystyczna. Ścieranie się tych dwu czynników z natury rzeczy jest dynamiczne i dopiero migawkowe utrwalenie na płótnie jakiegoś stanu równowagi w tej walce — czyni je statycznem.

Jest to jednak równowaga przeciwieństw, taka, która trwa zaledwie przez mgnienie. To też pierwiastek dynamiczny tkwi w obrazie, niejako ściągnięty w cuglach, ale sprężony i gotowy do skoku. Temu właśnie dzieło sztuki zawdzięcza swą wartość cywilizacyjnie twórczą. W tym sensie można bowiem powiedzieć, że dzieło sztuki zawiera pewne napięcie psychiczne, które może zelektryzować psychikę widza i podniecić dynamikę jej życia.

Temu, co powiedziałem wyżej, nie przeczą bynajmniej te dzieła sztuki, które jedność swą budują na podstawie rytmu podziałów geometrycznych. Są to dzieła rytmiczne, w tem zbliżone do muzyki, że w pewnym sensie dziejące się w czasie, mające coś z charakteru różańca, którego każde ziarnko musi dla siebie realizować zasadę jedności, niezależnie od jedności całości. Ale i wtedy nawet, kiedy artysta akcentuje porządek geometryczny, czyniąc to jedną ręką, drugą ręką stara się go zamącić.

Otóż — wracając *ad rem* — dzieła sztuki żydowskiej, pokazane we wspomnianej książce, nie mają nic z paradoksalności. Ich kompozycja formalna nie zawiera paradoksalnej jedności, osiągniętej przez ścieranie się pierwiastka analizy z pierwiastkiem syntezy, porządku geometrycznego z porządkiem organicznym. Nie mają nic wspólnego z błyskawiczną równowagą, osiągniętą w walce przeciwieństw, której utrwalenie jest zasługą dzieła sztuki. Ich uporządkowanie formalne jest geometryczną, a nie rytmiczną, klockową niemal układanką, nie mówiącą nic o ścieraniu się psychiki autora z widzianym światem.

Znajdujemy zatem potwierdzenie wyrażonego wyżej przypuszczenia, że i duchowe szlaki tej sztuki wiodą jakoś odwrotnie, od prawej ku lewej. Nie drogą, która wiedzie od jedności psychicznej autora, poprzez rozliczną rozbieżność świata widzianego i doświadczeń artysty o tym świecie oraz ich analizę, do jedności dzieła. Droga tej sztuki prowadzi kędyś indziej. Jak? Trudnoby powiedzieć. Trzebaby na to może przeprowadzić dokładną analizę psychiki zbiorowości, która tę sztukę wytworzyła.

Tu jednak czas ostatni na wyciągnięcie konsekwencyj z powyższych rozważań. Jeśli uznamy, że sztuką nie jest samo tylko rzucanie na papier linij i barw, ale dopiero powiązanie obrazu, który jako przedmiot należy do świata materjalnego, ze światem psychicznym, jeśli dalej, co godzi się wspomnieć dla ścisłości, zaprzeczymy, jakoby sztuką miało być imitowanie kształ-

---

[2]) *„Principes de Morfologie Générale"*. Rozdział VII.

tów i barw otaczającej nas rzeczywistości materjalnej, to wniosek stąd, że sztuka żydowska, przymniej ta, jaką znamy ze wspomnianej książki — nie jest wogóle sztuką, lub, conajwyżej jest sztuką innego, nam zupełnie obcego porządku. Stanowiłaby może interesujący temat badań dla orjentalisty, ale i ten, wobec zebranych w omawianej książce przykładów, byłby niewątpliwie zakłopotany.

Bowiem materjał ilustracyjny tej książki wygląda tak, jakby był zebrany specjalnie po to, by obalić legendę o artystycznej genjalności żydostwa. Te dzieła sztuki tak są naprawdę żadne, że gdyby nie żydowskie nazwiska autorów, sądzićby można, że książka jest antysemickim paszkwilem. Skoro jednak tak nie jest, przypuszczać można, że wybrano do reprodukcji co było najlepszego. Ten zaś kwiat wyboru wygląda naprawdę nędznie.

Ten stan rzeczy jest dla żydostwa tem smutniejszy, że, wedle tytułu książki, mamy tu do czynienia ze sztuką ludową, która właśnie jest zawsze najwymowniejszym sprawdzianem artystycznego zmysłu narodu.

Tylko, że z ludowością tej sztuki jest naprawdę grube nieporozumienie. Nazwa „lud" żadną miarą nie pasuje do żydowskiego proletarjatu. Została ona doń zastosowana drogą mechanicznego przeniesienia — lud jest najniższą klasą społeczną, zatem i najniższą kulturalnie klasę żydów można nazwać ludem. Przeniesienie to jednak jest najzupełniej niesłuszne. Lud bowiem nie oznacza bynajmniej klasy najniższej kulturalnie, ale klasę żyjącą w pierwotnych, pierwiastkowych warunkach twórczości cywilizacyjnej (przyczem słowo „pierwotny" nie ma tu pejoratywnego zabarwienia). W każdym narodzie europejskim lud jest warstwą cywilizacyjnie twórczą i stanowi rezerwoar sił twórczych narodu.

Życie, kultura i sztuka ludu opiera się na czynnikach, które stanowią najfundamentalniejsze zręby kultury narodu. Są niemi: ziemia, gospodarskie życie rodzinne i religja. Kultura ludu tem tylko różni się od kultury klas wyższych narodu, że zawiera te same co i tamta elementy w prostszym, pierwiastkowym stanie, niejako krystalicznym, podczas gdy wyżej bogato się one rozkrzewiają. Dzięki swej krystaliczności kultura ludu odporna jest na wszelkie zamącenia i stanowi źródlany zbiornik energji cywilizacyjnej narodu. Lud jest więc czemś więcej niż tylko zbiornikiem sił biologicznych, choć jest nim także; jego znaczenie kulturalne nie pozwala na to, aby uważać go za klasę najniższą kulturalnie.

Chałaciarz żydowski, który nie żyje z ziemi, nie jest gospodarzem, ale raczej anty-gospodarzem, bo lichwiarzem i pośrednikiem, którego religja przytem ma charakter raczej statutu organizacyjnego, niż światopoglądu, żadną miarą nie stanowi ludu, choć istotnie jest biologicznym materjałem odradzania się, szybko degenerujących klas wyższych żydostwa. To bowiem nie wyczerpuje znaczenia ludu. Człowiek na stopniu chałaciarza stanowi w narodach europejskich element przejściowy, cywilizacyjnie najmniej twórczy.

Może dlatego właśnie, że chałaciarze nie są ludem, nie potrafią oni wytworzyć swoistej sztuki? Sztuka ich, pokazana w omawianej książce, nie ma tych właśnie cech, które nieodzownie znamionują każdą sztukę ludową — nie ma swoistego ornamentu, ani swoistego stylu. Cechą jej wspólną jest raczej bezstylowość.

Zbiorowość żydowska, pozbawiona ludu, nie jest w gruncie rzeczy narodem w sensie europejskim. Pozbawiona kontaktu z ziemią i tych rezerw cywilizacyjnych, jakie stanowi pierwiastkowy kryształ kultury ludu, czy jest zdolna do oryginalnej twórczości cywilizacyjnej, a zatem i artystycznej, czy też tak, jak w dziedzinie politycznej, i tutaj jest tylko jemiołą na dębie?

HENRYK EYSYMONTT

Z DZIEJÓW POWIEŚCI WARSZAWSKIEJ VI

ALCYBJADES

Kto był pierwowzorem Edmunda - Alcybjadesa - Benjamina - Cyprjana. — Przyczyny, dla których pierwowzór zakonspirowano. — Dowody autentyczności Norwida w masce Edmunda. — Krzywdzący wyrok.

I

W PRACY, poświęconej Norwidowi[1]) sięgnąłem do „Poganki", jako do źródła biograficznego. Stało się dla mnie oczywiste, że Edmund we „wstępnym obrazku" jest maską tego poety. Wywołało to protesty ze strony badaczy literatury, mających więcej zaufania do świadectw w druku, choćby jawnie bałamutnych, niż do dowodów fotograficznych, ustalających tożsamość. Nawet prof. Mann, który tak lekceważąco obszedł się z fotografją Pauliny Zbyszewskiej (Bartoszewicz), że ją zidentyfikował z Aspazją, uznał, że ufać świadectwom Skimborowicza nie można, bo są bałamutne[2]). Ze swej strony nie robię nikomu zarzutu, że w Edmundzie nikt dotąd nie rozpoznał Norwida. Nie mógł nikt rozpoznać, bo Norwid nie był znany, zrobiono owszem wszystko, aby nikt nie wiedział, jak Norwid rzeczywiście wyglądał.

Ja jednak idę dalej i utrzymuję, że Norwid nie przypadkowo znalazł się w galerji portretów, w przedsieniu powieści zawieszonych; on jest główną w całej powieści osobą, dla niego, z jego powodu i o nim cała powieść była napisana. On jest owym Benjaminkiem (Alcybjadesem), jemu — jak go sobie autorka wyobraziła po latach — wypadło opowiadać zdarzenia swego życia.

Ze „wstępnego obrazka" możemy odtworzyć sobie mniej więcej genezę pomysłu powieściowego. Ciągle trzeba wracać do tego wstępu powieściowego, bo to jest kawałek pamiętnika autorki. Pamiętnik w czasach romantyzmu był kolebką powieści, jako sposobność wypowiadania swych stanów subjektywnych i wykazywania się ze swej osobowości. Była w tem gwarancja realizmu, wspom-

---

[1]) Z. Wasilewski: „Norwid", Warsz. 1935. Ob. pozatem „Ruch Literacki" nr. 8 z r. 1934 i 1 z r. 1935.

[2]) M. Mann: „Poganka", s. 33.

nienie bowiem osobiste pociągało za sobą konieczność przytaczania okoliczności, które przeżyciu towarzyszyły. W samej powieści, którą autorka będzie stylizowała na bajkę, postacie rozpływać się nam będą we mgle fantazji, ale ta część pamiętnikowa we wstępie jest nie ze snu, lecz z jawy.

Nie miała pierwotnie zamiaru przedstawiania miłości zapaleńca, jako „grzechu", w ten sposób, jak to na końcu zdarzeń wypadło, gdy zgorszona ostatniemi wieściami o jego romansie, w r. 1846 powieść kończyła. Zdaje się, że pierwszym pomysłem artystycznym było głównie: pokazać, jak dalece bezwzględne pojmowanie piękna w sztuce, nie miarkowane ideałem dobra, może się stać siłą zniszczenia. W tym celu uciekła się do sposobu rozczepiania jednej psychiki według zachodzących w niej sprzeczności, na dwie odrębne postacie. Wygląda tak, że Cyprjan i Benjamin — to jedna, rozczepiona osoba. Tej połowie, którą uważała za istotną wartość Norwida, pozostawiła nawet właściwe imię Cyprjan, jego słabości nadała imię Benjamin. Artysta Cyprjan postanowił wydobyć z kobiety ideał bezwzględnego piękna, mniemając, że miłość, która tego dokona, będzie jednocześnie bezwzględną prawdą. Grzech zaczął się odtąd, kiedy poznał błąd i w szczęściu osobistem wszystkie ideały zatracał.

Koncepcja ta tem lepiej dopasowała się do młodego Norwida, że — jak to widzimy z jego charakterystyki we „wstępnym obrazku" — z tej właśnie strony rozdwojenia osobowości autorka go poznała. Wrażliwa na przejawy talentu, musiała zainteresować się młodym Norwidem, artystą fanatycznym, zadziwiająco na swój wiek dojrzałym. Talent i charakter, jak widać z jej rozmowy z Emilką (Skimborowiczową), nie były skoordynowane. Poza sztuką, „poza talentem stał próżny i czczy elegancik, chwiała się powiewna trzcina" [4]).

Wciąganie żywych postaci na scenę powieściową należało do manjery artystycznej w tych czasach. Żmichowska wytwarzała sztuczne kombinacje z użytych do powieści pierwowzorów. Nie mogła się powstrzymać, aby Benjaminowi nie dać maski popularnego wtedy podróżnika Władysława Wężyka, o którym wiedziała, że był przyjacielem Norwida i razem z nim wyjechał zagranicę. Samego Norwida pod mianem Edmunda wysunęła na margines powieści we „Wstępnym obrazku" tak, jak w panoramach wówczas modnych (pamiętamy panoramy Jana Styki) kładło się żywą naturę pod obrazem, aby wywołać wrażenie jedności terenu. Na tę modłę komponowała powieść „Dwoiste życie", w której na początku występuje osobiście, a potem w opowieści nadesłanej, jako figura widziana przez kogo innego. Przypomina taka inscenizacja pomysłów dawne sztuki teatralne (Kamińskiego), gdzie na scenie osobistości współczesne obserwują odgrywaną przed niemi sztukę. Teatr w teatrze.

II

W introdukcji do „Poganki" jest zaledwie parę punktów autentycznych i jednocześnie potrzebnych autorce do powieści. Potrzebny był Norwid i kominek; reszta dorobiona dla rozszerzenia tła epoki. Niepotrzebnie krytyka robiła sobie ambaras z wyszukiwaniem daty, kiedy to zdarzył się taki wieczór, który zjednoczył naraz tyle wymienionych w obrazku osób. To tylko pewne, że rozmowa z Norwidem, czy poznanie go przez Żmichowską miało miejsce w r. 1840, już po przybyciu do Warszawy p. Kalergis, a przed wyjazdem Norwida z Warszawy (w grudniu 1842 już go nie było w Warszawie).

O tem, że Norwid uczestniczył w jakiejś dyspucie, którą zapamiętała także Żmichowska, świadczy echo tej dysputy, które się odezwało równolegle i w „Pogance" i w „Promethidionie". Mam na myśli owo wtrącone do rozmowy przez Teofila (Skimborowicza): „Hej, galop, galop"... Podobnie Bogumiłowi przerywa Konstanty: „Ho hop, koniku mój, rwij się od żłobu, ho hop!" Wygląda to na wspólną reminiscencję tego samego zdarzenia towarzyskiego. A przecież, pisząc „Promethidiona", Norwid nie znał „Wstępnego obrazka", bo on nie był wtedy jeszcze ogłoszony.

Żmichowska, robiąc z Norwida oś kompozycji, miała widocznie poczucie artystyczne, że sama wzmianka o Edmundzie we „Wstępnym obrazku" nie jest wystarczającym pokazem tej psychiki życiowej, którą w bajce ma demonstrować jakby w powiększeniu, na ekran rzuconem. Czuła potrzebę scharakteryzowania w paru słowach tego Edmunda. Charakterystyka ta mogła się wydawać Emilce (Skimborowiczowej), z której wiedzą niewątpliwie ten pomysł był wcielany, rzeczą niewłaściwą ze względu na niebezpieczeństwo narażenia innych przejrzystych portretów na łatwe rozpoznanie. Autorka dorobiła tedy cały tłum portretów, aby zagubić związek Edmunda z powieścią. Nie byli to jednak w całej grupie goście Skimborowiczowej; nigdy może nie spotkali się razem w rzeczywistości. Mógł wtedy, podczas dyskusji o miłości, obecny być Dembowski; kółko pewno było małe. Cała ta grupa portretowa, jak już wspomniałem, dorobiona była w r. 1846.

Wyjaśniałem już w poprzednim rozdziale, dlaczego z takim strachem przystępowano do druku „Poganki". Właśnie dlatego, że powieść ta mogła być sensacją niebezpieczną ze względu na osobistości głównych bohaterów. Pomimo największych ostrożności w dobieraniu masek i komplikowaniu poszlak, mogło stać się głośne, że Aspazją jest hr. Nesselrode (Kalergis). Mniejsza o Norwida, ale w Warszawie mógł wtedy być znany pościg poety za tą „bardzo piękną panią"; pokazać Norwida było tem samem, co wskazać palcem na nią. Żmichowska zaś zabardzo przywiązana była do swych zdobyczy artystycznych, osiągniętych w drodze obserwacji, aby wzorków tak ponętnych mogła się wyrzec. Dyszała przytem po kobiecemu, w swej duszy demokratycznej i patrjotycznej, niechęcią do tej kobiety obcej, która porwała, jak czarownica, benjaminka z warszawskiej kolonji literackiej. Kobiety młode, przez tych parę lat pobytu p. Kalergis w Warszawie, doskonale naostrzyły sobie na niej języki.

Ale z drugiej strony trzeba było niemałej odwagi, aby w powieści córkę hr. Nesselrode, szefa żandarmerji warszawskiej, na sztych wystawić. Przecież ten generał trzymał pod baczną obserwacją owych entuzjastów, wśród których wietrzył spiskową robotę.

Kto wie, czy pomimo konspirowania powieściowej tajemnicy, zausznicy nie podszepnęli ojcu, kim jest Aspazja; kto wie, czy nie to było powodem, że Żmichowska była śledzona i, w r. 1849

[4]) „Poganka", s. 28.

uwięziona, dwa i pół lata pozostawała w zamknięciu. Władze obeszły się z nią bardzo surowo. Gdzieindziej (pisząc o Norwidzie) nie zataiłem przypuszczenia, że awantury poety z paszportem i uwięzieniem w Berlinie, były dziełem policji Nesselrodego.

Tem się tłumaczą owe skrupuły, ten strach podczas drukowania powieści i ta ulga autorki, że niebezpieczeństwo minęło. Nic podobnego nie towarzyszyło pojawieniu się innych utworów, głucho o nich w listach Żmichowskiej. W tym wypadku sensacja, którą wywołała, tak ją zajmuje, że zaraz po wydrukowaniu „Poganki" (30.XII.1846) pisze do p. Turnowej:

„Co to z tej Poganki narobili! Gdyby to było w Poznaniu, toby się chyba nie obeszło bez dwu wyzwań, trzech mdłości, jednego samobójstwa, siedmiu bezimiennych listów i algebraicznej sumy plotek. U nas w Warszawie znów wszystko cichuteńko. Chodzę po ulicy bezpiecznie, nie straciłam ani jednej znajomości, nie pogniewałam się z nikim, zachowałam wszystkie moje stosunki, jakgdyby mi się nigdy nawet nie zaśniło fantazyjną stać się Autorką. Bogdaj to mieć co lepszego do roboty" [5]).

Jakby widzieć apatyczną Warszawę w czasach Paskiewiczowskich, zawsze mało interesującą się zdarzeniami literackiemi, zwłaszcza że takie czasopisma, jak „Przegląd Naukowy" małą miały poczytność. Dla mnie interesujący jest w tem subjektywny stan Żmichowskiej, mianowicie ten niepokój przesadny młodej autorki, że cały świat widzi jej zuchwalstwo.

Tutaj dodam: okoliczności te wyjaśniają tajemnicę, dlaczego sama autorka w liście do przyjaciółki (Zbiegniewskiej) zataiła, kim był u niej Edmund i dlaczego Skimborowicz uciekł się do wykrętu, że Edmundem był Baliński. Nie ulega wątpliwości, że w latach późniejszych przybył inny powód tajenia, kim był Edmund. Żmichowska ostygła z namiętności politycznych i objektywnie patrząc na żywot Norwida i jego wysiłek twórczy, czuła, że wyrządziła mu krzywdę. Ile że Norwid żył i wszczynanie tej sprawy byłoby wielkim błędem. Nie mogła przecież tłumaczyć się i przepraszać, wolała rzecz zagubić w tajemnicy i we własnem sumieniu.

III

Pisząc swą opowieść, Żmichowska ma w oczach Norwida takiego, jakim go widziała przed kilku laty i tak go we wstępie opisuje, w powieści zaś przerzuca go na ekran. Tu już opiera się na legendzie, która o nim doszła do Warszawy z zagranicy. Autorka musi go traktować, jak symbol, przez stosowanie formy bajki.

Można sobie wyobrazić Żmichowską, wychowaną w skromnym domu szlachty polskiej, nie mającą wygórowanych potrzeb osobistych i ambicyj społecznych, a bardzo wybredną w wyborze przyjaciół, jak ją razić musiało to, że Norwid z własnego życia robił fantazję bez żadnego poszanowania prawdy, dyktowanej przez rzeczywistość. Dystans, dzielący hrabiankę Nesselrode od ubogiego poety polskiego, wydawał się jej tak niewiarogodny, że go już opisowo inaczej ująć nie mogła, jak tylko w formie bajki. Było w tem wiele zmysłu artystycznego i niemało pierwiastku ludowego. Od dzieciństwa na bajce kształciła swoją wyobraźnię. Jej to jest właściwością, co mówi o sobie Benjamin: „To wszystko [w bajce] ułożyło się jakoś w naturę moją nie na zabobon, nie na słabość charakteru, ale prędzejbym powiedział — na jakąś dziwną siłę fantazji" [3]).

Fantazja ta kazała poetce widzieć w niezwykłej piękności p. Kalergis nieczystą siłę uwodzicielską, jakąś syrenę, która wabi do wody młodzieńców i tam sidła demonicznym urokiem ich serce.

Doszła do autorki wiadomość, że Norwid i p. Kalergis robili konno wycieczkę na Wezuwjusz. To wystarczyło, aby ten konkretny fakt wpadł w wyobraźnię ubogiej guwernantki jako ziarno bajki. Oto pędzi poeta na swym Sokole (tutaj widoczne reminescencje „Farysa"):

„Sokół nie biegł, nie leciał, Sokół chyba swoim mocnym, przyśpieszonym oddechem wciągnął w siebie całą bajeczną miejsca odległość, gdyż nagle uciekły postacie-olbrzymy, uciekł ptak-chmura, został tylko przestwór bez granic, bez przedmiotu, bez tła, ale przestwór głośny świszczącem koło uszu powietrzem i bijącemi o kamienisty grunt podkowami, przestwór, rozjaśniony od spodu rzęsistym gradem iskier, które w przelocie, łącząc się promieniami, tworzyły czasem niby łamania się jakiejś ognistej fali, a z jednej i drugiej strony tak ciemny, że chyba świata nie było".

Tym pięknym obrazem poetyckiej Chimery wciąga nas poetka coraz głębiej w świat bajki, pragnąc wywołać wrażenie odległości bajecznej między rzeczywistością poety a tym majakiem, po który sięgał. A dalej:

„Wtem nagle wyskakuje masa czarna, ogromnn — to góra, ale daleko, na tej górze bije godna tego krajobrazu pochodnia... Może wybuch wulkanu?"

Tak się włączył do fantastycznego obrazu Wezuwjusz. „Ot już blisko... Nie, to nie wulkan, to gmach, tylko cały w płomieniach. A mury grube, jak czarna siarka, odbijają się nieprzejrzystemi kratami od tej, ze wszystkich okien rażącej światłości. Czy gmach się pali? Nie, to jakaś uczta zapewne"...

Powołuję się na dokonane w jednym z poprzednich rozdziałów streszczenie „Poganki". Przy uważnem czytaniu powieści łatwo spostrzec zmianę, która pod koniec bajki o Aspazji zaszła w stosunku autorki do Benjamina. Wspominałem już o tem wyżej, że od początku stosunek ten był pełen życzliwości dla młodzieńca. Autorka użyczyła mu swej własnej kolebki, nawiązując jego młodość do swych własnych (jak to krytyka stwierdziła) lat dzieciństwa. Nie miała, zdawało się, zamiaru obciążać go winą za to, że się zajął hrabiną; winę ponosi Cyprjan (brat, czy on sam jako artysta), ale gdy powtórnie, po doznanym zawodzie, pobiegł do niej, wtedy autorka stała się wobec niego bardzo surową.

Ta druga część bajki w zaczarowanym zamku hrabiny wydaje mi się dopisaną w 1846 r., pod wpływem wiadomości, jakie do Żmichowskiej doszły o zapamiętaniu miłosnem Norwida, o jego

[5]) Listy N. Ż. i Z Węgierskiej". Częstochowa 1834, str. 59.

[3]) „Poganka", s. 58.

pobycie we Włoszech, o jego wycieczkach na Wezuwjusz, o jego hrabiowskich występach, o jego aresztowaniu wreszcie, o lekkomyślnem jego skazaniu się na byt emigrancki, o upokorzeniu, z jakiem dalej o łaskę „bardzo pięknej pani” zabiegał. Żmichowska utrzymywała stosunki z emigracją i z ludźmi z Poznańskiego, którzy dobrze wiedzieli o tem, co się dzieje w Berlinie, zresztą mogła o tem wszystkiem dowiedzieć się bezpośrednio, czy pośrednio, od p. Marji Trembickiej, która p. Kalergis nie towarzyszyła już w dalszych podróżach i w r. 1846 pozostawała w kraju. Tak czy owak, widzimy z toku opowiadania, że znane były Żmichowskiej przygody Norwida i że oceniła je jako pogrążenie się poety w „nędzę moralną”.

— „Czarne gondole Wenecji, dym Wezuwjusza” — opowiada Benjamin — „wszystko razem mąci mi się w głowie... Nazywano mnie hrabią, baronem, lordem, ekscelencją”... „To nie byłem ja, to były jednochwilowe życzenia, fantazje, upodobania Aspazji. Ja byłem tylko w jej uśmiechu... I tak mi zeszło kilka lat życia”.

„Przez ten czas Aspazja roztrwoniła wszystkie wspólne dostatki nasze: zapał, natchnienie, uczucie piękna... wzięła i zmarnowała. Wtedy nastąpiło straszne jutro”[6]). Odrzucony, poszedł w świat o kiju podróżnym ciężką drogą swoją.

Z dzienników europejskich zdołał dowiedzieć się, że hrabina połączyła się z jakimś księciem; opisywano wspaniały bal, poczem dodano: „Mówią powszechnie, że hrabia Benjamin, młodzieniec niepospolitych zdolności, genjalny autor ważnego dzieła o starożytnościach etjopskich i zachwycającej książeczki drobnych poezyj p. t. „Czarnoksięstwa” i t. d.

Pisząc to Żmichowska zapomniała, że Benjamina zrobiła górnikiem i że o jego talencie poetyckim nie wspominała. Przestaje szczędzić Benjamimina. Naśladując styl reporterski, cytuje rzekomo z dziennika złośliwe plotki o nim, o jego żydowskiem pochodzeniu i tak dalej reportaż snuje: „Za Beskidem może w rozkosznej zaciszy książęcego ogrodu, na marmurach i wschodnich kobiercach pierwsze kroki swoje stawiać zaczęło to dziecię nadzwyczajne, które miało zajść tak daleko i zniknąć tak nagle”[7]). Szczegółów tych dowiedziano się pośrednio ze zwierzeń samego Benjamina. Słowem: „hrabia Benjamin, człowiek genjalny, domniemane jakieś serbskie czy wołoskie książątko...“ Wiemy, że takie tradycje „książątka” zostawił po sobie w Warszawie Norwid.

Mało tego. Autorka, dowiedziawszy się, że Norwid — pomimo doznanego zlekceważenia — próbował listownie nawiązać dawny stosunek, dopowiedzieć kazała Benjaminowi, że na swój korny list otrzymał odpowiedź nie od Aspazji, lecz od jej pazia, owego z zamku gnoma, który pisze: „gdyby z mojego listu piękna kobieta śmiała się tak jak Aspazja z twojej modlitwy, to doprawdy zrzekłbym się i świętości i nieba, a sobie w łebbym palnął”.

Musiała tedy Żmichowska i to wiedzieć, że p. Kalergis śmiała się z Norwida. Tem większa złość wezbrała w niej na Norwida, im więcej sympatyzowała z nim dawniej. Gniewała się na niego z nienawiści do tej kobiety. Mam wrażenie, że w tej pasji Żmichowska okazała się zbyt „guwernantką” i że zagalopowała się (hop, hop) jako powieściopisarka. Gdyby Benjamin tak upadł, to skądby się wziął w tem gronie koło niej? Dajmy na to, że odżył na łonie rodziny, ale nie był już w żadnym razie entuzjastą.

IV

Animozja wzburzonej kobiety wykrzywiła nieco dobrotliwe zrazu oblicze bajki, wszakże zasługuje na uwagę ten osobliwy wypadek powieści, dotrzymującej kroku dziejącej się w życiu rzeczywistości. Trzeba przyznać trafność autorki w ocenie samego stosunku Aspazji do Alcybjadesa. Wyjaskrawiła ten stosunek pierwiastkiem demoniczności, ale wiernie przedstawiła to, co istotnie było między p. Kalergis a Norwidem. Oto jak ten stosunek przedstawia bratowa Norwida, Ludwikowa:

— „On ją kochał do szaleństwa szczerze, a nie był kochany, tylko tolerowany (*supporté*), przyjmowany wśród tłumu wielbicieli, których ta piękna i sprytna kobieta pociągała za sobą we wszystkie zakątki Europy. Cyprjan był wówczas bardzo młody i kochał jak poeta, t. j. z całej duszy, co sprawiało, że w bożyszczu swojem upatrywał tylko piękne i szlachetne przymioty, zapominając, że podobnie jak to się zdarza z owocem, powierzchowność kobiety bywa wspaniała, a wnętrze zepsute, zgangrenowane”[8]).

Żmichowska, trzymająca rękę na tętnie swego środowiska, które oczekiwało wielkich wydarzeń i właśnie w r. 1846 było w gorączce, nie mogła pogodzić się z myślą, że w chwili, gdy najbliższy człowiek, Edward Dembowski pada od kuli, Norwid, nie chcąc o niczem wiedzieć, bawi się w miłostki. Śmierć Dembowskiego była najcięższym argumentem przeciw poecie w oczach Żmichowskiej.

Po skończonem opowiadaniu Benjamina zabrał głos obecny przy kominku Leon Metodysta, urzędowy przedstawiciel opinji publicznej, aby wyciągnąć morał:

— „A widzicie... Oto człowiek zdolny, poczciwy, „dobrze urodzony”... przyniósł z sobą na świat złote serce, diamentową wyobraźnię, mógł zostać poetą, lub prorokiem, Tyrteuszem lub Ezdraszem:— on został kochankiem pięknej kobiety! I patrzcie, moi drodzy, patrzcie i pamiętajcie na zawsze, jaki on dziś złamany, bezsilny, martwy, nieużyteczny... Biada miłości, którą się tak na jednostkę wyrzuci i zmarnuje”.

Wtedy Edmund, siedzący przy kominku, spróbował „ostrożnie” bronić Benjamina:

— „Lecz gdyby się nie zmarnował, gdyby ta jednostka nie pogańska, ale już w chrześcijaństwie odrodzona, przyjęła skarb rzucony wraz z przywiązaną do jego posiadania odpowiedzialnością? Gdyby przyjąwszy, tak dobrze nim zagospodarowała, że w jej ręku wszelki tysiąc i klejnot wszelki osobnym Bogu i ludziom opłacałby się procentem”...

— „Żadnego gdyby”... — odpowiedziano mu.

Wyrok opinja zatwierdziła.

ZYGMUNT WASILEWSKI

[6]) „Poganka” 146 — 150.
[7]) Tamże, 151.

[8]) A. Krechowiecki: „O C. Norwidzie”. Lwów 1909, t. I, str. 81.

NA WIDOWNI

Zdarzenie prawdziwe. — Obojętność. — Jej przyczyny. — Czy uniknięto rozdwojenia. — Rola żydów. — „Wielki eksperyment".

OBRAZEK charakterystyczny, wzięty z życia: Dwór ziemiański, poniedziałek 9 września, popołudnie. Rodzina i goście zgromadzeni w pokoju bawialnym. Z poczty, z miasteczka przywieziono właśnie najświeższe dzienniki.

— Ależ wczoraj były przecież wybory! — woła ktoś nagle, spoglądając na pierwszą stronę gazety. A myśmy wszyscy na śmierć o tem zapomnieli!...

— Rzeczywiście... Nikt się nie interesował...

(Dwór, o którym mowa, jeszcze w czasach zaborców był ośrodkiem działań społecznych i narodowych, czynnego patrjotyzmu, mądrej i bezinteresownej służby sprawie publicznej. Dziś w dalszym ciągu świeci przykładem pracy obywatelskiej i ofiarności).

— Możeby przeczytać listę nowych posłów?.. Eh, niewarto...

— — — — — — — — — — — —

Brak zainteresowania, obojętność — oto powszechnie obserwowana postawa wszystkich warstw społeczeństwa polskiego wobec przeprowadzonych ostatnio wyborów do Sejmu i Senatu. Postawa zrozumiała u zwolenników ugrupowań opozycyjnych, które od udziału w akcji wyborczej uchyliły się zgóry, nie uważając, iżby nowa ordynacja umożliwiała odzwierciadlenie istotnych nastrojów politycznych kraju. Ale—poza osobistymi przyjaciółmi kandydatów—czyż, w dzisiejszych warunkach, wynik wyborów mógł był chociażby zaciekawić szersze rzesze zwolenników obozu obecnie rządzącego?

Przez dziewięć lat główną troską propagandy sanacyjnej było narzucanie społeczeństwu suggestji, że grupa, dzierżąca władzę, jest czemś idealnie, poprostu, jednolitem, że nieporozumienia w niej są nieuczciwym, bezsensownym wymysłem przeciwników, złośliwą plotką, nie mieszczącą w sobie ani źdźbła prawdy. Z jakimż ferworem powtarzali publicyści urzędowi, że zmiany gabinetów ministerjalnych (w latach „sanacji" nie rzadsze zgoła, niż w epoce „demoliberalizmu") — to jedynie „zmiany warty", że luzowanie jednych osobistości przez drugie nie odgrywa roli, nie zapowiada jakichkolwiek nowych kierunków czy metod. Skądże „lojalny obywatel", tak pouczony, może interesować się osobami wartowników, skądże ma, wogóle, chcieć zastanawiać się nad ich wyborem? Wie, że każdy przecież taksamo staje „na baczność", z takim samym karabinem, w takim samym mundurze...

Naczelną myślą polityki sanacyjnej jest „ujednostajnianie", seryjne urabianie dusz według oficjalnego wzoru. Temu celowi służy radjo i szkoła („wychowanie państwowe"), na ołtarzu tego bóstwa złożono autonomję wyższych uczelni, swobodny rozwój organizacyj społecznych i t. d. i t. d. Wiemy, jak premjowane są: samodzielność sądu, niezależność własnych poglądów wśród urzędników, wśród profesorów, wśród młodzieży. Jakże „lojalny obywatel" ma zainteresować się „głosowaniem na osobistości", gdy być osobistością jest już — właściwie mówiąc — poniekąd nielojalne, sprzeczne z duchem panującego systemu?

Wielce zachwala się obecną ordynację wyborczą, że, usuwając walkę o programy i hasła, usuwa czynnik rozdwojenia w narodzie, jakim ta walka — w mniejszym czy większym stopniu — być musi. Brak zainteresowania właśnie przedstawia się jako zaletę („nie rozbudzano namiętności"), jako szczególnie dobroczynny skutek zreformowanego ustroju.

W rozumowaniu powyższem zapomniano o tem, że wybory — w normalnem znaczeniu tego wyrazu—są także wielkiem przeżyciem zbiorowem, które zespala, dzięki któremu naród w znacznej mierze umacnia świadomość swojej wspólnoty. Już sam ten fakt, że współzawodnicy polityczni spotykają się przy tej samej urnie podczas głosowania, stwarza poczucie jedności, jest tem w praktyce, co zgoda dwu przeciwników na poddanie swego sporu orzeczeniu wspólnie wyznaczonego arbitra. Jest to stwierdzenie, że walka odbywa sie w wytyczonych przez konstytucję szrankach, na podstawie zgodnie uznawanych reguł, przez cały ogół jednakowo przyjętych i szanowanych. Stąd naturalna — po uczciwie przeprowadzonych wyborach — atmosfera odprężenia, kiedy strona pokonana, chociaż nie jest, pewnie, zadowolona z wyroku, ale go—w każdym razie — nie myśli kwestjonować.

Otóż, cokolwiek możnaby rzec o nowej ordynacji wyborczej, każdy przyzna, że jej zastosowanie w praktyce, tego poczucia jedności narodowi nie dało, atmosfery odprężenia nie przyniosło. Rozłam w społeczeństwie polskiem nie zmniejszył się, ale pogłębił.

Inną jeszcze zaletę obecnego systemu wskazują jego zwolennicy: małą liczbę posłów narodowości niepolskiej. W dzisiejszym Sejmie — mówią — jest tylko paru żydów, i to tych, których kandydatury „czynniki miarodajne" zdecydowały się postawić. W rzeczywistości sprawa przedstawia się bez porównania smutniej.

W szeregu okręgów, mianowicie, nie umieszczono nazwisk żydowskich na listach kandydackich, ale wyborcy - żydzi, rzecz oczywista, nie zniknęli i swoim głosem mogli rozstrzygać pomiędzy współzawodniczącymi kandydatami polskimi. Wobec niewielkich cyfr, stanowiących o wyborze, doniosłość tego arbitrażu była ogromna. Docenili ją poszczególni politycy sanacyjni, jak np. w Krakowie p. Pochmarski, co żargonową ulotką przekonywał wyborców starozakonnych, by jego właśnie wyróżnili swojem poparciem z pośród ubiegających się o mandat „sanatorów" — Polaków.

Otóż wyznam (a gust mój nie jest w tym wypadku odosobniony), że niezbyt razi mnie, jeżeli żydzi wybierają reprezentanta żydów i nie chcę zgoła narzucać im, ze swej strony, takiej czy innej osobistości z ich środowiska. Ale bardzo nie lubię, kiedy żydom oddaje się rozstrzygnięcie, który Polak ma być przedstawicielem Polaków, i ten stan rzeczy uważam za zjawisko — najłagodniej mówiąc — niezdrowe. Co do tej kwestji, elementarnej, nie powinnoby być między Polakami różnicy zdania...

Pisząc te słowa, mam przed oczyma jeden z tygodników sanacyjnych, nazywający obecną ordynację wyborczą „wielką próbą, wielkim eksperymentem". Coprawda, wszystkie skutki jej, o których wyżej, można było przewidzieć zgóry, stano-

wiły bowiem jej naturalną całkiem, konieczną konsekwencję. W tem rozumieniu, możnaby mówić o „wielkim eksperymencie”, stwierdzającym np., że ogień parzy...

Ale w każdym bądź razie warto się nieco nad nauką z tej „wielkiej próby“ zastanowić.

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

UKAZAŁA SIĘ SENSACYJNA BROSZURA „O chrześcijański i polski charakter harcerstwa”. Sprawozdanie z procesu redaktora odpowiedzialnego — „Strażnicy Harcerskiej w sądzie okręgowym w Warszawie. w dn. 15 grudnia 1934 r. i 28-29 marca 1935 r. (Nakład „Strażnicy Harcerskiej”. Warszawa 1935 r., str. 79. Skład w „Składnicy Sportowej” w Warszawie, ul. Żórawia Nr. 3). Na treść składają się stenogramy sądowe, poprzedzone, wyjaśniającem genezę harcerstwa, słowem wstępnem.

Rzecz godna uwagi, w niemniejszym może stopniu, niż wychodzące od czasu do czasu, publikacje wielkich procesów politycznych z lat ostatnich. Po, utrzymanych w tonie entuzjazmu, reportażach prasowych ze Spały, zajrzyjmy do skromnej, nie wielkiej rozmiarami książeczki.

Trafiamy na chybił trafił na miejsce, gdzie autorowie w „Zakończeniu” wzywają „wszystkich harcerzy do niestrudzonego bojowania: 1) o chrześcijański charakter Z. H. P., 2) o czysto polskie środowisko wychowawcze w Z. H. P. i 3) o niezależność harcerstwa” str. 87.

A teraz dla zilustrowania punktu drugiego powyższych dezyderatów, cytujemy urywek z przemówienia p. Mirosława Sawickiego:

„Wystarczy powołać się na załączony do akt sprawy niniejszej biuletyn z dnia 11.XI 1934 r. Nr. 2 Okręgu Śląskiego — Krakowskiego Związku Żydów, uczestników walk o niepodległość Polski, a mianowicie: na informacje o Harcerstwie wogóle, a w szczególności zaś o projektowanych zmianach statutowych, dotyczących chrześcijańskiego i polskiego charakteru Z. H. P. W tym komunikacie czytamy: „Miarodajne czynniki uznały słuszność naszych poczynań i dlatego możemy z tej strony spodziewać się poparcia. Wiadomo nam — narazie coprawda nieoficjalnie— że władze popierają tę szczytną akcję Harcerstwa. Związek Harcerstwa zmienił niedawno odnośny punkt statutu, skreślając ustęp, dotyczący należenia do harcerstwa młodzieży wyłącznie chrześcijańskiej”. Stwierdziwszy następnie, że Krakowski Oddział pomienionego Związku posiada już 7-miu instruktorów zuchowych, którzy odbyli wyszkolenie w Z. H. P., biuletyn podaje następnie szczegółową instrukcję dla swych komórek organizacyjnych, ażeby zgłaszać na kursy instruktorskie Z. H. P. jaknajwięcej kandydatów żydów ze wszystkich środowisk. W końcowym ustępie komunikatu o harcerstwie czytamy: „Należy przedewszystkiem postarać się, aby do istniejących już hufców mieszanych, a więc uczęszczanych tak przez dzieci chrześcijańskie, jak i żydowskie, przyjmowano młodzież żydowską”. Słowem, zaledwie zapadła uchwała Rady Naczelnej, dotycząca zmian statutowych i pomimo, iż statut ten nie został jeszcze zarejestrowany, już się rozpoczęła jego realizacja w stosunku do mniejszości narodowych i prawdziwa ofenzywa na Harcerstwo, ale ze strony mniejszości żydowskiej”. (str. 71/72).

OSTATNI (37-y) numer „Wiadomości Literackich” drukuje oświadczenie P. E. N. Clubu w sprawie przykrego, ale niezwykle dosadnego w swym wyrazie incydentu z polskim numerem sowieckiej *„Litieraturnoj Gaziety“*.

Czytamy w zakończeniu:

„... Zarząd polskiego P. E. N. Clubu, organizacji czuwającej nad zasadami wymiany dóbr kulturalnych i dążącej do ugruntowania w jaknajszerszym zakresie porozumienia między literatami poszczególnych narodów, czuje się zmuszony zaprotestować przeciw tego rodzaju metodom jako niegodnym stanu pisarskiego. Nie obciążając odpowiedzialnością pisarzy sowieckich i ich organizacyj zawodowych, gdyż, być może, sprawa ta nie dotarła we właściwym czasie do ich wiadomości, nie domyślając się innej przyczyny ich dotychczasowego milczenia, oprócz tej, że zapewne głosy prasy i pisarzy polskich były im nieznane, zarząd polskiego P. E. N. Clubu ma prawo spodziewać się obecnie z ich strony opinji, którаby nas przekonała, że ideał wzajemnej współpracy kulturalnej narodów nie jest im obojętny. Tę nadzieję Zarząd polskiego P. E. N. Clubu opiera na dobrych stosunkach z pisarzami sowieckimi, potwierdzanych wielokrotnie w tylu okazjach osobistego kontaktu, a zamanifestowanych na terenie międzynarodowym w deklaracji, którą delegacja polska złożyła na kongresie w Edynburgu podczas obrad nad możliwością stworzenia centrum sowieckiego”.

Deklaracja zakłopotana, upokarzająca i naiwna. Nie obciąża odpowiedzialnością pisarzy sowieckich z powodów, które jako wielce charakterystyczne pozwoliliśmy sobie przytoczyć. I jak wobec tego, u licha, wygląda ten nowy kraj — bezustanna podnieta, podnieta entuzjazmu? Nie Moskwa, nie Leningrad, ale Ciemnogród, klasyczny Ciemnogród. Nie postęp, nie wolność, nie nowość, ale kołtuństwo, niewola i zacofanie. Co tu dużo mówić — poprostu Hitlerja! Jak wielki kłopot z dotychczasowemi „Ligami“, „zbliżeniami”, „frontami”, „obronami” i proletarjackim kawiorem. „Dziwne aż“ — pisze Słonimski — „jak ci pisarze Rosji komunistycznej straszni są w przestrzeganiu protokułu, form dyplomatycznych“.

To też wpadł on w pasję („kanty”, „psie figle”) i musiał napisać nie na temat. Musiał, bo już czerwone nici, któremi szyta była cała ta robota, zbyt były grube, zbyt wyraźne.

I w numerze 35-tym czytaliśmy takie oto słówka:

„Zostaliśmy przez władzę sowiecką oszukani prymitywnie i cynicznie. Nie przez pisarzy sowieckich, ale przez władzę sowiecką. To rozróżnienie wydaje mi się rzeczą zasadniczą”.

Jednak!

„Europa dzieli się dziś na państwa, które swych pisarzy umundurowały, i na kraje, w których pisarze chodzą często może bez butów, ale po cywilnemu. Dziś po incydencie z numerem polskim w Sowietach, nauczeni i bogatsi w doświadczenie, pilnie będziemy uważali czy mamy honor z cywilnym czy z umundurowanym pisarzem“.

A dalej:

„Nie pierwszy to raz spotykam się z tą cyniczną metodą. Zbliżenie kulturalne polega na swobodzie propagandy sowieckiej w Polsce i na niedopuszczaniu książek polskich do Sowietów. Humanitaryzm obowiązuje tylko jedną stronę”.

I jeszcze:

„Niema możności przeprowadzenia dyskusji, bo jedna ze stron nie dopuszcza do głosu. A przecież moglibyśmy mówić ze sobą, my, pisarze nieobojętni na krzywdę ludzką bez względu na to, pod jakim popełniono ją hasłem, sztandarem czy emblematem. Probowaliśmy nieraz. Zniechęca do nowych prób pewność, że na każde uczciwie wypowiedziane zdanie otrzyma się w odpowiedzi frazes polityczny, samą „agitkę“ albo dyplomatyczną grzecznostkę”.

Zdawałoby się, że potem wszystkiem powinno się było chociaż na chwilę zdobyć na coś więcej aniżeli cięte słowa. Tymczasem tuż, obok tygodniowej kroniki, kronika rosyjska, a w tymże samym numerze cała pierwsza kolumna Stefanji Zachorskiej poświęcona jest sowieckiemu filmowi pod patetycznym i entuzjastycznym tytułem: „Listy z Nowego Wschodu”.

W następnym (36-tym) numerze aż dwie pierwsze kolumny poświęcone Sowietom. Tytuł: „Nauka w Sowietach i u nas” czyli „Pięć wywiadów ze znakomitymi przedstawicielami wiedzy polskiej” a to: Ludwikiem Anigsteinem, Stefanem Baleyem, Hilarym Lachsem, Brunonem Nowakowskim oraz Wojciechem Świętosławskim.

Jeszcze jedna cytata ze Słonimskiego:

Ten kant z „*Litieraturnoj Gaziety*“, kawał naiwny, łatwy do zdemaskowania, był odpowiedzią na zapoczątkowane (!) przez nas zbliżenie kulturalne. To prawie jakby kto w odpowiedzi na wyciągniętą przyjaźnie rękę odrzucił wypchaną papierami rękawiczkę”.

„Wiadomości Literackie” uparcie wyciągają rękę chociaż już otrzymały „wypchaną papierami rękawiczkę”.

Uwaga, nuż się bowiem dostanie po nosie? (Wszystkiego się przecież można spodziewać...) A to już będzie bolesne, bo najdrażliwsze.

NAUKA i LITERATURA

MIECZEM i KRZYŻEM

DZIEJE nawrócenia na wiarę ojców wnuka Renan'a, Ernesta Psichari, żołnierza i pisarza, który oddał swe młode świetne życie za Francję, w pierwszych dniach Wielkiej Wojny, przedstawił prof. Wł. Folkierski w pięknem studjum p. t. „Mieczem i krzyżem” „Ernest Psichari: Myśl, sztuka, życie”. Księgarnia św. Wojciecha, str. 105).

W prześlicznem wspomnieniu, poświęconem Psichari'emu w książce jednego z jego przyjaciół, wybitnego pisarza H. Massis'a, czytamy: „Innym zawdzięczamy niewątpliwie — ideje, wskazania, rady; E. Psichari'emu winniśmy rzecz niewypowiedzianą, mianowicie, że mógł nas otworzyć na nowo na światło boskie”... „Ciągle wyprzedzając nas, biegł on, wskazując drogę... Mogliśmy tylko dziękować Bogu, iż uczynił nas świadkami wspaniałego powiększania się tego serca, które wznosiło się nieustannie, tajemniczo kierowane, do miejsca wyzwolenia, co pewnego dnia zostanie przez niego uznane z radością odzyskanej pewności” (p. „*Évocations*”, str. 192 etc.).

To właśnie wznoszenie się serca Psichari'ego ku własnemu wyzwoleniu śledzi prof. Folkierski przedewszystkiem w jego dziełach literackich. Niektóre z nich, to prawda, mogą być ozdobą literatury Francji przedwojennej, nie wyrażają one jednak z całą prawdą tego piękna, jakie zawarte było w duszy ich autora. Niekiedy nawet rzucają na nie dość sztuczne światło.

Zawiele tu jeszcze „literatury”, zawiele grandilokwencji, a nawet pozy przed światem i pewnego lubowania się w sobie — że tam, pod skwarnem niebem Afryki na niebezpiecznym posterunku żołnierskim, pędzi się żywot godniejszy człowieka prawdziwie w duchu wolnego, niż w Paryżu, gdzie się było tylko „młodym bourgeois”, oddanym sprawom swego stanu.

Życie Psichari'ego piękniejsze było od tej literatury, co wyrażała jego dążenie i wznoszenie się ku wyzwoleniu.

Życie jego pragnęło heroizmu, wielkości, dyscypliny moralnej, ofiary — i umiał on przezwyciężyć w samym sobie własną słabość, zatriumfować nad chorobą moralną, co ubezwładniała wolę, a myśl pozbawiała zdolności męskiego postanowienia oraz wyboru.

Dzięki tej osiągniętej nad sobą władzy — lampa heroizmu, o której sądzono, iż już dogasa — jak powiada Massis — została znowu zapalona przez tego wnuka Renan'a i zaświeciła podwójnem światłem młodzieży jego pokolenia.

Nie wiem, czy tak było, jak konkluduje autor studjum o Psichari'm mianowicie, że „nie wiara zaprowadziła go do dyscypliny, ale odnaleziona dyscyplina poprowadziła go do wiary”, to pewna jednak, iż pierwiastkowy instynkt istoty ludzkiej, który ostrzega przed grożącem jej niebezpieczeństwem, obudził w nim chęć ratunku i skierował go na drogę, gdzie znalazł i wiarę i dyscyplinę... W. J.

RÓD BALTAZARÓW

ZNIKNĄĆ, w mniej lub więcej tajemniczy sposób, z areny życia europejskiego po to, aby gdzieś w odległych, egzotycznych krajach stworzyć sobie upragnioną pustelnię, dającą zapomnieć o znienawidzonym ładzie starego kraju, oto, przyznajmy, szablonowy, ale zarazem patentowany wzór, według którego autor romansu podróżniczego pozbywał się niewygodnego bohatera, przygotowując jednocześnie błyskotliwy efekt końcowy: odnalezienie przez śmiałych cudzoziemców, nie skarżącego się na los, samotnika.

O wiele młodszą tradycję ma inny *trick* pisarski: „zesłanie” głównej postaci, jedynie naskutek fatalnego splotu nieprzyjaznych okoliczności, i powrót na łono cywilizacji „marnotrawnego syna”, pragnącego później z nawiązką odrobić stracone lata.

To drugie rozwiązanie skomplikowanego węzła akcji powieściowej, oczywiście z rozlicznemi warjantami, zawiera więcej pierwiastku dramatycznego, pozwala w nieoczekiwany sposób rozwinąć zupełnie pospolite wątki treściowe. Jan Baltazar, bohater powieści Wiliama J. Locke'a „Ród Baltazarów” [1]), ginie z oczu zamkniętego światka akademickiego uniwersytetu w Cambridge, którego był chlubą i nadzieją, gwiazdą matematyczną pierwszej wielkości. I nikt z otoczenia nie potrafi nawet w przybliżeniu wyobrazić sobie, co skłoniło burzliwego, coprawda, młodzieńca do wyrzeczenia się świetnej karjery w kraju rodzinnym.

Powraca dobrowolny wygnaniec w dwadzieścia lat później z odległych Chin i — pierwsze wrażenie kosmopolitycznego, jak wszystkie stolice europejskie, Londynu odstręcza go, nieznanym z czasów młodości, przykrym akcentem.

Baltazar szedł w życiu po linji największego oporu, niejednokrotnie obarczał się więzami uciążliwych przysiąg, składanych pod wpływem depresji, spowodowanej „szokiem” po jakiemś nadużyciu — niejako dla zadośćuczynienia naruszonemu porządkowi moralnemu. Przysiąg tych, co ważniejsza, dotrzymywał, mimo, iż stały się na jego drodze przysłowiowemi kłodami, rzucanemi pod nogi.

Donkichotyzm Jana Baltazara, romantyczny motor przemian wewnętrznych, oparcie o honor, jako o wartość absolutną — wszystko to pozwalało spojrzeć nań jako na personę zupełnie niecodziennego dramatu.

Wykonanie ostatniej przysięgi, spędzenia trzech lat na pustkowiu, wśród wydm, w całkowitem odcięciu od świata,

[1]) Przełożyła z angielskiego Bolesława Kopelówna. Warszawa, 1935. Towarzystwo Wydawnicze „Rój”, str. 486.

w jedynem towarzystwie młodego Chińczyka, ucznia i służącego zarazem, pozostawia bohatera opowieści przez dwa lata w nieświadomości Wielkiej Wojny. Błogostan szczęśliwego trwania w tym najlepszym ze wszystkich intelektualnych światów przerwała bomba, trafem zrzucona z przymusowo lądującego Zeppelinu, uświadamiając w dotkliwy sposób zagrzebanemu w swem *tusculum* uczonemu przeraźliwą grozę wojny.

Sytuacja — nazwijmy ją powtórnem odkrywaniem Ameryki — mimo dramatycznych spięć równie dobrze przemówiłaby do wyobraźni komedjopisarza — tyle w niej utajonych bakteryj humoru. Jedno z pierwszych zetknięć z porzuconem lekkomyślnie, nad wszystko umiłowanem, środowiskiem akademickiem dostarczyło Baltazarowi olśniewającej rewelacji o istnieniu jego dorosłego syna, o czem nasz bohater w swej hojnej rozrzutności zupełnie nie wiedział.

Druga część tego żywota, roszczącego pretensje do historji niejednego pokolenia — przynajmniej w narysowanem tutaj, godnem uwagi przecięciu, to wzruszające opowiadanie o nawiązywaniu zerwanych przed ćwierćwiekiem nici, łączących samotnego człowieka ze społecznością ludzką.

Ubiegłe lata, spędzone na wypełniających bez reszty czas studjach, nie liczą się jakby w tym dziwnym rachunku: w grę wchodzą wyłącznie nowe, tętniące siłą (u tego, pięćdziesięcioletniego mężczyzny) uczucia i postępki, wszystkie jednak nawracające do dawnych, z przed niesamowitego „letargu", kontaktów. Przed oczyma czytelnika rozgrywa się najbardziej pociągający dramat życia od nowa, ze złudzeniami i heroizmem młodości.

Epizod z dziejów rodu Baltazarów dobiega końca: Jan, w obronie honoru swego, świeżo „odkrytego" syna, poświęca własną, zawrotną, nadludzkim wysiłkiem wskrzeszoną karjerę — powraca do znienawidzonych, przeklętych Chin, kraju, który mu zabrał młodość i szczęście.

Na starej drodze przyświeca zmartwychwstała miłość ukochanej przed laty dwudziestu, Marceli... i wiara w szczęśliwą gwiazdę rodu. Ostatnia przesłanka, motyw swojskości i ciepła uczuciowego, z łatwością mieści się w całokształcie wyobrażeń angielskich.

Nieprzesadzony obraz machinacyj żerujących na wojnie, hyjen-dostawców — takich np. jak Pillirant, „niemogący zaprzeczyć, że matka jego mówiła po żydowsku" i przywędrowała z Niemiec — a przedewszystkiem wielka gra wewnątrz sfer rządowych między autentycznymi Anglikami a płatną sforą pruską, niebezpieczna walka, gdzie stawką jest teka ministra czy premjerowski fotel — albo też sąd wojenny, aktualizują książkę, napisaną w dobie największego w dziejach szwindlu politycznego, niesamowitej maskarady służalców „obcych agentur"...

ES.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Witold Taszycki. „Śląskie nazwy miejscowe". Wyd. Instytutu Śląskiego. Katowice, 1935.

Historja śląskich nazw miejscowych wykazuje polski charakter śląskiego imiennictwa miejscowego. Wiele w najdawniejszych czasach rdzennych nazw polskich zaginęło z powodu klęsk elementarnych i wojen. Wtedy, jak pisze autor, „ginęły wsie i miasta, uprawne pola stawały się ugorem, osiedla ludzkie las porastał, poczem nazwy ich pokrywała niepamięć". Na ich miejsce powstawały i utrwalały się nowe nazwy. Poczem znów ginęły niemczone, tłumaczone na język niemiecki, przekręcane lub zastępowane nowemi nazwami, niemieckiemi. Dopiero badania pierwszych polskich zabytków druku, badania dokumentów, kronik i zabytków pokrewnych, księgi uposażeń biskupstwa wrocławskiego, łęczyckich ksiąg sądowych i Księgi Henrykowskiej, uświadamiają o polskiem pochodzeniu miejskich i wiejskich osiedli, nazw rzek i gór, nazwisk założycieli czy właścicieli osad, nazwisk mieszkańców. Mówią o opłatach, ponoszonych przez ludność, terminach sądowych, nazwach niektórych urzędów i urzędników i nazwach przedmiotów, związanych z kulturą rolną, rybną czy pszczelną. Przeważnie są to wyrazy rodzime, czysto polskie, a często trafiają się wśród nich wyrazy zapożyczone z łaciny lub języka niemieckiego.

Przed laty, kilku działaczy narodowych starało się wyłowić te nazwy z zapomnienia, odkryć z pod pokostu niemczyzny i zebrać w spisy uwidoczniające ich rodowód, a następnie uczeni podejmowali się dokonać opracowania tego materjału. Rezultaty tych prac miały mieć znaczenie ogólno-naukowe, a jak się okazało w okresie plebiscytu, i polityczne, pełne najżywszej aktualności. Dr. W. Taszycki, autor studjum „Śląskie nazwy miejscowe" traktuje dotychczasowy dorobek naukowy w tej materji jako ledwo zarysowane zapoczątkowanie pracy. Spółczesne metody naukowe grupują materjał w pewne typy i nadają opracowaniu dalekosiężną rozpiętość i pogłębienie. Układ wyżej wymienionego studjum jest wzorowy. Poszczególne rozdziały: „Pierwsze zabytki, Celtowie i Germanie, Nazwy topograficzne, Zmiana znaczenia i formy niektórych nazw, Nazwy patronimiczne, dzierżawne, służebne, Związki z czeskiem terytorjum językowem, Przyczyny" i t. d. dążą w tekście do wyczerpania tematu. Rozprawa napisana jest stylem jasnym i ugruntowana wszechstronną erudycją historyczną. (A. W.)

•

W połowie sierpnia r. b. ukazał się pierwszy numer angielskiego czasopisma *„Baltic Countries"* (Kraje Bałtyckie), wydawanego przez Instytut Bałtycki w Toruniu. Jest ono wyrazem zarysowującej się coraz bardziej w stosunkach powojennych pewnej wspólnoty gospodarczej, kulturalnej i politycznej wśród państw bałtyckich, która wyraża się w potrzebie najbliższego współżycia i współpracy z ludami i państwami położonemi nad Bałtykiem. Zainicjowane przez Instytut Bałtycki czasopismo ma właśnie za zadanie szerzenie znajomości podstaw tego współżycia na drodze naukowej w teraźniejszości i w przeszłości między ludami bałtyckiemi.

W opracowaniu pierwszego numeru wzięło udział w charakterze współpracowników 20 uczonych polskich oraz 17 uczonych ze wszystkich krajów bałtyckich i anglosaskich.

Dalej następuje 6 artykułów informacyjno—sprawozdawczych z ruchu naukowo-kulturalnego i działalności ważniejszych instytucyj naukowych w państwach bałtyckich oraz dział krytyczny, który tworzy 25 recenzyj najważniejszych publikacyj. Całość zamyka dodatek statystyczny (*Baltic Yearbook*), który w cyfrach obejmuje obszar, długość granic, stan zaludnienia, rolnictwo, przemysł i t. d. wszystkich państw bałtyckich.

ZE ŚWIATA SZTUKI

ARKADY

NAKŁADEM Wydziału Wydawnictw Artystycznych P. A. T.-a zaczęło wychodzić pismo, poświęcone sztuce użytkowej. Jest to miesięcznik, nazywa się: „Arkady". Redakcję miesięcznika objęła pani Wanda Filipowiczowa. Dotychczas ukazały się 4 zeszyty. Pismu, powiększającemu naszą, niezbyt zasobną, literaturę plastyczną, warto poświęcić nieco uwagi.

Użyte przezemnie wyrażenie: „sztuka użytkowa", którem określiłem treść miesięcznika, wymaga uzupełnień, gdyż nieobjaśnia dokładnie o zawartości „Arkad". Sciślej mówiąc, jest to perjodyk, zajmujący się zagadnieniem estetyki w tych wszystkich dziedzinach życia, gdzie to zagadnienie, obok innych, może być podjęte. Tak np. artysta-meblarz odbiera wychowanie w uczelni artystycznej i jego działalność bezspornie mieści się w obrębie plastyki. Natomiast do rodziny artystów nie zaliczymy inżyniera-elektrotechnika, temniemniej praca przez niego podejmowana bardzo często może zahaczać o sprawy estetyki. Weźmy np. pod uwagę zagadnienie oświetlenia wielkich miast. Tu nie o to tylko chodzi, żeby było widno, bo miasto, oświetlone w ten, czy inny sposób, wygląda w ogólnym efekcie ładniej, lub brzydziej.

Plastyczny obraz miasta, uwydatniony odpowiednio pomyślanem oświetleniem—oto zadanie o charakterze wyraźnie artystycznym.

Temat ten był omówiony na łamach „Arkad”. wspominamy o nim, ponieważ daje wyobrażenie o typie pisma. „Arkady“ poruszyły również sprawę ogródka mieszkalnego, rolę pomników w mieście i t. p. Słowem, pismo pragnie służyć pięknu życia. Wszystko, co nas otacza, a co może być dziełem rąk ludzkich, ulega ciągłym przemianom. Rzeczywistość widzialna ogarnia nas specjalną atmosferą, żyjemy w klimacie przez nią stworzonym, poddajemy się suggerowanym przez nią nastrojom, ale jakże rzadko interesujemy się pracą i wysiłkiem tych, co jej wartości plastyczne organizują. Recenzenci sztuk plastycznych w pismach zdają sprawę z wystaw, ale nie zwracają uwagi czytelników na wartości plastyczne, które tkwią bezpośrednio w życiu. Drobne przedmioty codziennego użytku wczoraj np. miały taką formę, dziś mają inną; co wpłynęło na tą zmianę, kto był jej autorem?—nie interesujemy się tem wcale, potulnie przyjmując to, czem nas częstują. Przez zwrócenie uwagi na możliwości estetyczne najróżnorodniejszych dziedzin życia chcą „Arkady” rozszerzyć krąg zainteresowań przeciętnego „konsumenta” sztuki.

Drugą ważną cechą miesięcznika jest uwaga, jaką poświęca sztuce zabytkowej. Pomost, przerzucany na łamach tego pisma, między światem dawnym a nowym w zakresie sztuki użytkowej, musimy uznać, zwłaszcza w naszych warunkach, za rzecz ze wszech miar pożyteczną. Bowiem właśnie u nas ciągłość kultury w tej dziedzinie jest niedoceniana, a nawet lekceważona. Skłonność do podobnego traktowania sprawy przyczyniła się zapewne do wytworzenia dwu krańcowo odmiennych typów upodobań, między któremi niema żadnego łącznika. Z jednej strony możemy się spotkać z typem miłośnika zabytków naszej przeszłości artystycznej, który nie okaże najmniejszego nawet zrozumienia dla poważnych wysiłków współczesnych artystów, z drugiej — mamy wśród młodych plastyków i takie typy niedowarzonych doktrynerów, dla których wszystko, co dawne, to grat, starzyzna i „won na śmietnik wyrzucić!”. Brak kontaktu między obiema grupami, brak typu pośredniego, stwarza niebezpieczeństwo uczynienia z pierwszej grupy martwej gałęzi manjactwa, z drugich — artystów bez głębszych podstaw kulturalnych.

Ten brak zainteresowania zabytkami przeszłości stwarza jeszcze ubocznie fałszywe często wrażenie naszego ubóstwa wobec innych narodów. Każde niemal miasteczko, o starych i pięknych tradycjach, w takich Niemczech np., doczekało się rozmaitych okazałych monografij, każdy próg niemal, jeśli zabytkowy, został wielokrotnie opisany. A u nas, czy tego niema? Pojedźcie tylko z biegiem Wisły, a zobaczycie, jakie cuda kryją w sobie miasta i miasteczka po drodze! Tylko u nas to wszystko pozostaje zazwyczaj w zaniedbaniu i niewiele osób tem się interesuje. Stąd właśnie błędne mniemanie powstaje, że mamy mniej, niż inni.

„Arkady” pragną być tym łącznikiem „między dawnemi, a nowemi laty” i w przedmowie do jednego z artykułów piszą: „zdanie sobie sprawy z charakterystycznych cech naszego zdobnictwa w przeszłości, jest najlepszą podstawą do zrozumienia dzisiejszych wartości” (w sztuce). Z artykułów tego typu najciekawszy jest o ceramice polskiej z końca XVIII-go i z XIX-go stulecia, pióra St. Gebethnera, ilustrowany znakomicie wykonanemi reprodukcjami, oraz St. Sienickiego o meblach polskich z Kolbuszowej. Artykuł dr. arch. Sienickiego jest zapowiedzią obszerniejszej pracy (około 300 str.) na ten temat, owocu dwuletnich studjów, wędrówek po Polsce i szperania w archiwach. Będzie to pierwsza książka u nas o polskich meblach XVIII-go stulecia. Ze względu na wkroczenie w niej na nieznany zupełnie dla naszych historyków i uczonych teren, spodziewać się należy po tem dziele niejednej rewelacji.

W tym samym numerze (4-tym) „Arkady” przypominają nam szeregiem pięknych zdjęć, prześliczny, a zamało znany pałacyk w Natolinie (2 kilometry od Wilanowa), jeden z klejnotów architektury doby Stanisławowskiej, zbudowany prawdopodobnie przez Merliniego.

Cena zeszytu „Arkad” wynosi 3 zł., za co czytelnik otrzymuje: 50 str. tekstu, około 70 ilustracyj i 7 plansz barwnych. Pismo, posiadając mocną podstawę finansową, może sobie na to pozwolić.

WIKTOR PODOSKI

NOWE KSIĄŻKI

Troczyński Konstanty. Od formizmu do moralizmu. Szkice literackie. Poznań 1935. Jackowski.

Conrad Joseph. Książę Roman. Opowieść. Lektura szkolna. Warsz. 1935. Dom. Ks. P.

Regulski W. System sprawności jako metoda wychowania. Warsz. 1935. Dom Ks. P.

Markowski Jan. Pomoc Węgier w bitwie pod Warszawą. Warsz. 1935. S. 20.

Przegląd Filozoficzny. Rocz. 38 zesz. I—II. S. 176.

Kieszkowski Witold. Platonizm renesansowy. Bibl. „Przeglądu Filoz.”. T. I. Warsz. 1935. S. XVI i 130.

Celichowski Stan. dr. Wyprawa Zbąszyńska. (1919). Wspomnienia uczestnika. Poznań (1935) „Głos”. S. 70.

Jan Harusewicz. — Lekarz i polityk. Warsz. 1935. Nakładem Stron. Narodowego w Ostrowi Mazow. Str. 80. Z portretem.

Lach Adam. Sto dodatkowych zajęć dochodowych w mieście i na wsi. Poznań 1935. Św. Wojciech. Skarbczyk domowy. S. 136. (zł. 1.20).

Wybranowski K. Dziedzictwo. Powieść. Wyd. II. Poznań 1935. Św. Wojciech. (zł. 4).

Georg J. E. Z tajników pożycia małżeńskiego. Z 15 tablicami. Poznań 1935. Św. Wojciech. S. 190. (zł. 4).

Pachucki Marjan. Myśli św. Bernarda. Poznań 1935. Św. Wojciech. (zł. 1.50).

Marlicz Jerzy. Ośmiornica. Powieść. Poznań 1935. Św. Wojciech. (zł. 8).

Nałkowska Zofja. Granica. Powieść. Warszawa 1935. Gebethner i Wolff.

Prus Bolesław. Pisma. T. V. Szkice i obrazki cz. I. — T. IX. Opowiadania wieczorne. — T. XII i XIII. Lalka II i III.

Kuczewski Wład. Postępy hutnictwa żelaznego na Śląsku. Katowice 1935. Inst. Śląski. S. 20.

Smogorzewski Kaz. Sprawa śląska na konferencji pokojowej 1919 r. Katowice 1935. Inst. Śląski. S. 40.

Pulver Max. Ucieczka do życia. Powieść. Warszawa. Wydaw. Nowoczesne.

Brion Marcel. Śmierć jest piękna. Powieść. Warsz. Wyd. Nowocz.

Kiedrzyński Stefan. Dzień upragniony. Powieść. Warsz. Trzaska, Evert i Michalski.

Kiedrzyński Stefan. Wiosna wśród kamieni. Warsz. Tamże.

Niepodległość, t. XII, zesz. 2.

Gębarowicz Miecz. Stosunki artystyczne Śląska z innemi dzielnicami Polski. Katowice. Inst. Śląski. S. 26.

Feldman Józef. Polska i Polacy w sądach politycznych pruskich. Katowice 1935. S. 43.

Korbut Gabrjel. Szkice i drobiazgi historycznoliterackie. Warsz. 1935. Kasa im. Mianowskiego. S. 160.

POKŁOSIE

DOBÓR ELITY

Zbiegło się w ostatnich czasach kilka wydarzeń, z których można wyciągnąć niejakie wnioski o składzie i doborze elity, góry dzisiejszego naszego towarzystwa.

Więc najpierw wydarzenia wysoce oficjalne — wybory do sejmu i senatu, które w założeniu miały być wyborem „najlepszych". Dziś możemy dowoli odczytywać listy wybrańców zgóry na dół i z powrotem, a nie wiem czy znajdzie się choć jeden taki czytelnik, który po tej lekturze odetchnie z zedowoleniem i z ulgą w duszy zawoła: „no, nareszcie, mamy przedstawicielstwo godne narodu!" Chciałbym istotnie takiego zobaczyć, ale wątpię, czy to się uda.

Wina oczywiście leży w przepisach wyborczych, które według urzędowych wersyj miały właśnie zapewnić wybór elity, a w rzeczywistości spełniły to, do czego były zgóry przeznaczone i dały przedstawicielstwo według myśli administracji. Zostawmy więc ten sztuczny produkt przepisów administracyjnych na boku i zwróćmy się tam, gdzie możemy ujrzeć elitę samodzielnie, że tak powiem, sformowaną.

Całą Polskę obiegło oburzenie z powodu radjowej transmisji odjazdu statku „Piłsudski" z Tryjestu. Wyrzekano na *speaker*'ów za danie obrazu, będącego karykaturą uroczystości, zabawy dobrego towarzystwa i wesołości w dobrym stylu. Tymczasem po zakończeniu tej inauguracyjnej jazdy, gdy doszły wiadomości, jak się ona odbywała, okazało się że transmisja była wiernem odbiciem rzeczywistości. Doborowe towarzystwo z górnych paru tysięcy naszych czasów zachowywało się poprostu jak zbiegowisko ludzi źle wychowanych, czerpiących wzory zachowania się z kina, i dla których kanonem mody i szyku wielkoświatowego są fotografje dam i dżentelmenów z tinglów amerykańskich, rozsiewane hojnie przez popularne ilustracje, stanowiące obok kina najważniejszy pokarm duchowy pewnych sfer, jak się okazuje, nie najniższych. Barbarja zapadłych kątów i złej „*kinderstube*" wyniesiona, jak to mówią, na świecznik. Powtórzyło się jeszcze raz widowisko z niejednego z paradnych przyjęć oficjalnych, gdzie często można z przykrością usłyszeć jakiegoś cudzoziemca, ironizującego na temat towarzystwa z małego garnizonu.

Oczywiście, czasy przełomowe wynoszą w górę warstwy nowe, nic w tem niema nadzwyczajnego; nowa może jest tylko bezceremonjalność. Sławne jest t. zw. „słówko Cambronne'a" lapidarna i wcale nie salonowa odpowiedź, jaką dał ten dzielny żołnierz, gdy otoczony ze swym czworobokiem gwardji na polach Waterloo, otrzymał propozycję poddania się. Słówko to, a raczej jego wykrzyknięcie, było przedmiotem wielu dochodzeń historycznych i ostatecznie nie jest ustalone, gdyż sam generał Cambronne nie chciał wyraźnie przyznać się do tego, co powiedział wówczas. A czemu? Otóż nie chciał dać argumentu tym wykwintnisiom, którzy i tak uważali napoleońskich generałów i marszałków za gburów. Stary rębajło niewątpliwie przsadzał w trosce o dobre formy, bo któż mógł wziąć mu za złe małowykwintny okrzyk w takiej chwili? Ale trzeba przyznać, że dziś nie znajduje naśladowców.

Gdy tak sobie rozważamy właściwości tej sfery, która uważa się u nas za elitę, rozlega się głos p. Wł. Studnickiego, zwracający się przeciwko dopuszczaniu chłopów do znaczniejszych stanowisk w kraju. P. Studnicki spóźnił się. Wypowiedział tylko szczerze to, co na kilka lat przed nim uczyniła pokryjomu nowa organizacja szkolna. „Myśl Narodowa" wyjaśniała w swoim czasie kompetentnem piórem, jak to nowy ustrój szkół utrudni, a nawet w wielu razach uniemożliwi wykształcenie synom chłopskim, ułatwiając je jednocześnie Abramkom miejskim. Teraz mamy z lekkiej ręki p. Studnickiego dorobioną do tej praktyki zasadniczą teorję. Chłopi według niego niedorośli jeszcze do sprawowania odpowiedzialnych funkcyj państwowych, zbyt blisko jeszcze są czasów pańszczyznianych, kiedy brali baty. Zrozumieć to chyba tylko można jako argument przeciwko samodzielności chłopów, przeciw ich zdolności do utrzymania niezależności sądu. Niewiadomo, gdzie p. Studnicki widzi te cnoty w pełnym rozkwicie. Czy może w sferze wielkopańskiej, tj. tej, która dawała owe baty? Tak by logicznie wypadało, ale nie trzeba być bardzo zawziętym demokratą, ażeby dostrzec, jak ta sfera trzyma się uporczywie każdej klamki władzę mającej. Gdzież są ci mężowie stanu? Z jakiegoż rezerwoaru naród ma pomnażać swe siły, jak nie ze swego trzonu i rdzenia?

Argumenty p. Studnickiego są śmieszne i nie wymagają odpierania. Ale żeby utrzymać się przy temacie przypomnijmy, że Witos nie dał się jednak namówić na frak, gors i biały krawat i dzięki temu uniknął śmieszności, a my widoku karykatury, których elita nam nie szczędzi.

ARGUS

NA MARGINESIE

Jak wielkiej wagi znaczenie miały wybory niedzielne do Senatu, świadczy doniesienie agencji „Iskra". Minister Skarbu Wł. Zawadzki, będący polskim delegatem do Rady Ligi Narodów, przerwał pracę w Genewie i samolotem przybył do Warszawy, aby wziąć udział w kolegjum wyborczem. Oczywiście zaraz musiał wracać do Genewy, również samolotem, wiadomo bowiem, że ważą się tam obecnie losy świata cywilizowanego i niecywilizowanego.

*

Sanacyjny i konserwatywny „Czas" zwrócił uwagę władz, że — gdzie jak gdzie — ale w Senacie zasiąść powinni ludzie, znający się fachowo na zagadnieniach gospodarczych. Jak się okazało z wyniku „wyborów", wskazówka ta była spóźniona i nie dała się już zastosować. Senatorami zostali przeważnie ci, którzy przepadli na wyborach do Sejmu (tam było posad tylko 208). W każdym razie, oprócz kilku prawomyślnych cywilów, niema między wybranymi nikogo niżej 4-ej rangi służbowej, a to jest najlepszą miarą wysokiej kwalifikacji powołanych do Senatu.

*

Podobno... po próbie wyborczej w dn. 9 b. m., w skrajnie demokratycznym odłamie „sanacji" powstał projekt, by dzisiejszą ordynację zreformować w duchu liberalnym, wzorując ją mniej więcej na przedwojennym, rosyjskim systemie wyborów do Dumy.

Naogół wszakże projekt ten uważany jest za zbyt daleko idący, zbyt radykalny i wobec tego, w kołach politycznych, nie wróżą tej śmiałej inicjatywie większego powodzenia. „Trzeba wystrzegać się eksperymentów, które mogłyby wprowadzić do sejmu żywioły niedojrzałe"... — miał się wyrazić jeden z najpoważniejszych przedstawicieli Obozu Państwowego...

*

„Dzięki nowym ustawom, mniejszość żydowska... będzie miała możność prowadzenia własnego życia kulturalnego i narodowego. Będzie ona mogła utrzymywać własne szkoły, własne teatry, własne związki sportowe, jednem słowem — być niezależną w swem własnem życiu".

Z czego wyjęty jest ten cytat? W jakim kraju prowadzona jest ta polityka filosemicka?

Jest to... urywek z urzędowego oświadczenia „*Deutsce Nachrichten—Buero*", oficjalnie komentującego ostatnie ustawy, dotyczące żydów, uchwalone na posiedzeniu Reichstagu w Norymberdze.

Żydzi niełatwo potrafią wytłumaczyć światu, że przeszkadzanie im we wtrącaniu się do spraw cudzych, jest straszną krzywdą, nieludzkiem, grozą budzącem prześladowaniem...

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9,** półrocznie zł. **17,** rocznie zł. **32,** zagranicą kwart. zł. **12,** półroczn. zł. **24,** rocznie zł. **45.**
Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.